

FELIKS W.

KRES

SZERŃ

I SZERER

ZIMA

PRZED

BURZĄ

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM 11





F E L I K S W.

K R E S

S Z E R Ń
I S Z E R E R

K S I Ę G A
C A Ł O Ś C I

T O M 11

ILUSTRACJE
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

fabryka słów®

WARSZAWA





KSIĘGA CAŁOŚCI

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
6. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Najstarsza z Potęg
11. Szerń i Szerer: Zima przed burzą



CZĘŚĆ PIERWSZA

ZIMA PRZED BURZĄ

PROLOG



Niewysokie wzgórza pokryte były lasem – albo może czymś, co oglądane z góry, mogło przywodzić na myśl las. Zamiast drzew ponad ziemią rozpościęrało się tylko jedno monstrualne pnącze o stu grubych, wijących się pniach, z których wyrastały tysiące mniejszych odgałęzień. Konary płatały się, krzyżowały, drobne gałęzie opłatały większe. Wszystko to, pokryte bujnym listowiem, tworzyło gigantyczny organizm. Dopiero niżej, pod brzuchem tej porażającej ogromem rośliny, krzewiło się inne życie. Między wczepionymi w grunt pękami grubych jak wieże korzeni rozciągał się istny labirynt, skryty w wiecznym półmroku – niezliczone sztychy światła przebijały zielony dach tego świata, ale to nie wystarczało, by uczynić go jasnym. Niewielkie zagajniki rosły blisko siebie, rozdzielone połaciami pustej przestrzeni. Grunt porośnięty był dziwnym mchem, brunatnozielonym kożuchem. Pofałdowany, zgrubiały, tu i tam zapewne okrywał

skąły, a może to były szczątki roślin lub wielkich zwierząt – obumarłe konary, połamane pnie, szkielety... Kożuch wygładzał i zacierał kontury.

Zagajniki i laski, poprzebijane na wylot korzeniami Nadrośliny, zbite w cierniste gąszcze, tak zwarte, że nie przedostałby się przez nie nawet kot, wydawały się istnymi fortecami – wyrąbanie drogi przez ten zdrewniały gąszcz było chyba niepodobieństwem. Kolczaste łodygi na obrzeżach nie tkwiły wcale w gruncie, bo mogłyby zostać odcięte lub odgryzione u korzeni. Uczepione rosnących daleko w głębi drzewokrzewów, czerpały z nich soki, broniąc w zamian przed intruzami z zewnątrz, ku którym wystawiały szybko odrastające, cierniste szpony. Ze środka opancerzonych zagajników strzelały ku górze pęki łodyg, wbijających się w brzuch Nadrośliny. Bronio-
ne u korzeni przez kolczaste chaszcze, łodygi twardniały i rozginały się na boki, otwierając szczeliny w skłębionym gąszczu powyżej. Po grzbietach zagajników pełzły plamy światła, prowokując ruch liści, czy też raczej czegoś, co przypominało liście. Gdy słońce odchodziło lub znikало, mięsiste płaty natychmiast uciekały, cofając się pod opiekę chaszczy.

Zagajniki były więc naprawdę fortecami, których załogi naprawiały swoje mury – one zaś służyły w zamian obroną.

Gdzieś daleko w półmroku rozbrzmiał tętent. Potężniał i narastał, grunt zaczął dygotać od uderzeń ciężkich nóg. Przemknęło w głębi, między korzeniami-wieżami coś wielkiego, roztopionego w wiecznym cieniu, i zniknęło w labiryncie zagajników. Tętent oddalał się szybko, wreszcie ucichł.

Cisza.

Dopiero gdy wróciła po galopie, dało się ocenić, jak jest bezmierna i głęboka. Nigdzie tutaj nie szumiał wiatr – do wtargnięcia pod brzuch Nadrośliny potrzebny byłby wich, bo zwykle podmuchy mogły tylko gładzić jej grzbiet. Nie śpiewały ptaki, nawet nie brzęczały owady. Nie było żadnych odgłosów kojarzących się ze zwykłym lasem.

Wysoko, bardzo wysoko na zboczu jednego ze wznieścień, blisko kopulastego szczytu, skłębione cielsko Nadrośliny zdawało się leżeć na ziemi. Wzniesiono tam płot, a raczej mur obronny, spleciony z twardych jak żelazo, kolczastych łodyg. Wielki pierścień, obejmujący znaczny obszar, opasujący szczyt wzgórza niczym ciernisty diadem. Wewnątrz pierwszego pierścienia znajdował się drugi, mniejszy, obejmujący opiekuńczym kręgiem chaty-ziemianki – dziwne siedliska, częściowo wydrążone w ziemi, częściowo zadaszone. Krzątało się między nimi mnóstwo dwunożnych sylwetek. Była to siedziba rozumnych istot, zwanych za granicą Srebrnym Plemieniem.

Zielony dach nad osadą mocno podziurawiono, przewidzono konary i listowie, by przepuszczały więcej słonecznego światła. Było niezbędne roślinom uprawianym na poletkach między zewnętrznym a wewnętrznym murem. Te najbardziej wymagające, ale i wartościowe, przeniesiono tutaj z innego świata. Nie wszystkie chciały rosnąć pod Wstęgami Aleru, lecz niektóre tak. Najlepiej przyjmowały się rośliny strączkowe, którym było chyba wszystko jedno, jaka Potęga się rozpościera nad kopułą nieba. Wystarczała im ziemia, woda i światło.

Przywiedziono stado zwierząt. Może lepiej: tabun, były to bowiem wierzchowce. Chudzi, poruszający się

podrygującym krokiem jeźdźcy podchodzili do stworzeń i wskakiwali na ich grzbiety; trudno to było nazwać dośiadaniem. *Fehstsfht* – tak określano zwierzęta. Niemożliwe do wymówienia przez człowieka słowo po drugiej stronie granicy zostało zastąpione przez „wehfet”.

Do jazdy na wehfetach nie używano siodła, cała uprzęż składała się z obroży na szyi wierzchowca, zaopatrzonej w rzemienną pętlę, którą jeździec oplatał nadgarstek. Ponadto od obroży wzdłuż grzbietu biegł skórzany pas, przymocowany dalej do czegoś w rodzaju popręgu – ten popręg opinał tułów zwierzęcia blisko zadnich nóg. Do grzbietowego pasa przywiązywano bądź przypinano specjalnymi kościanymi klamrami wszelkie pakunki i broń.

Oddział wojowników sposobiał się do wymarszu z wioski.

Wszyscy byli świetnie uzbrojeni: każdy nosił zbroję drewnianą, a może raczej korową, przywodzącą na myśl skorupę żółwia, ale tylko rysunkiem, bo była to giętka skorupa – dość regularne czworokątne płytki nie zachodziły na siebie, zbroję dało się zginać na ich stykach. Na plecach wojownicy nosili bajecznie kolorowe tarcze, rzemienie zaś podtrzymywały pokrowce z łukami i strzałami. Ponadto każdy członek oddziału miał włócznię zakończoną kamiennym grotem lub utwardzoną w ogniu, a niektórzy jeszcze prawdziwe żelazne miecze, zdobyte pod obcym niebem.

Otwarto bramę w mniejszym murze, potem drugą w zewnętrznym – ta była zamaskowana. Kilkunastu wojowników w luźnym szyku zjechało ze wzgórza.

Najpierw przemierzali otwarty, prawie pustynny obszar. W półmroku pod nogami wierzchowców ścieliła się

tylko szorstka trawa. Wkrótce zastąpił ją brunatnozielony kozuch. Srebrne Plemiona miały wiele słów na określenie tego żywego kobierca, ale najczęściej padała nazwa, którą można by wyłożyć jako: Mchokrywa.

Po pewnym czasie niżej zaczęły się pojawiać pierwsze kolczaste zagajniki. Jeźdźcy mijali je obojętnie, jednak w dość znacznej odległości, jakby bojąc się, że zdrewniała szpony porwą każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu.

Las gęstniał. Zagajniki były coraz większe, szerzej rozpostarte. Kurczyły się otwarte przestrzenie między nimi; u schyłku dnia jeźdźcy z dużym trudem wyszukali miejsce dość obszerne, by dało się rozbić obóz, a może raczej tylko rozłożyć się na nocleg. Nie stawiano żadnych namiotów i nie palono ognisk. Puszczone wolno zwierzęta otrzymały paszę, sypaną wprost na ziemię z dużych worków – były to nieco przywiedłe, wachlarzowate liście, uczepione delikatnych gałązek. Podobne rośliny tuliły się do niektórych mijanych po drodze kolczastych zagajników, a wehfety na ich widok pomrukiwały znacząco, lecz jeźdźcy nie chcieli tracić czasu.

Mimo nadchodzącego mroku – a może właśnie dzięki jego nadejściu? – wokół obozu nie wystawiono żadnych wart. Nastroje w grupie wojowników znacznie się poprawiły. Cokolwiek zagrażało tym zbrojnym, w czasie podróży czujnie przepatrującym okolicę, na pewno nie mogło nadejść w nocy. Nieprzeniknione ciemności pod brzuchem Nadrośliny, której cielsko nie pozwalało dojrzeć gwiazd ani księżyca, były chyba opiekuńcze i przyjazne.

Z nastaniem dnia ruszono w dalszą drogę, wciąż rażno i bez obaw. Tym razem pozwolono wehfetom posilić

się delikatnymi roślinami, które jasnozielonym kręgiem otaczały bury zagajnik. Wielkie ożywienie wywołał odkryty nieopodal brązowy krąg na ziemi. Szeroką na kilka kroków przestrzeń pokrywał zwyrodniały, stwardniały mech, zupełnie już niepodobny do Mchokrywy, chyba chory, przypominający najprędzej korę jakiegoś drzewa. Wycięto krąg w całości, oczyszczono, ze znanstwem podzielono na kilka mniejszych części i objuczono wehfety. Wojownicy zyskali bezcenny, rzadko występujący materiał na zbroje. Była to zdobycz warta nawet znacznej zwłoki w podróży.

Ruszono dalej. Lecz po pewnym czasie ścieśniono szyk marszowy, a pojedynczy jeźdźcy oddalili się na cztery strony świata, postępując wraz z grupą główną, lecz wyraźnie ją ubezpieczając wszędzie tam, gdzie było to możliwe, bo teren nie ułatwiał zadania. O tej porze wróg już chyba nie spał i mógł się pojawić zewsząd.

Podróż wiodła przez prawdziwy labirynt, wąskie przejścia między kłębami zagajników rzadko miały szerokość stu kroków. Klucząc, krążąc, czasem niemal zawracając, bo tak wiodła jedyna droga, wojownicy tracili bardzo dużo czasu; w linii prostej niewiele posunęli się naprzód.

Monotonny marsz najbardziej dał się we znaki starcowi jadącemu w samym środku grupy. Nie narzekał, lecz dało się zgadnąć, że grzbiet wehfeta to już nie jest miejsce dla niego. Był jedynym jeźdźcem, który nie dźwigał żadnej broni, zwierzę zaś, którego dosiadał, dobrano chyba specjalnie: wierzchowiec wydawał się wyraźnie spokojniejszy i lepiej ułożony niż wszystkie pozostałe, nader często przywoływane do porządku przez swoich panów.

Wehfety szybko się nudziły monotonną jazdą w grupie, lubiły nagle pobiec w lewo albo w prawo, jeszcze chętniej zaś skubnąć zębami zad lub bok pobratymca. Zdarzały się pojedynki naprawdę groźne dla jeźdźców, z trudem poskramiających zadziorne zwierzęta.

Po drugiej stronie granicy, gdzie wyprawiano się czasem dla zdobycia cennych przedmiotów, wehfety łagodniały. Zawsze trudniejsze w prowadzeniu od szererskich koni, pod niebem Szerni traciły jednak sporo animuszu. Było to pożądane tak podczas przemarszów, jak i w bitwie. Waleczność zwierzęcia byłaby zaletą, gdyby szła w parze z posłuszeństwem – ale nie szła.

Tutaj, pod ogromnym cielskiem Nadrośliny, zdarzało się wcale nierzadko, że rudy hests, najgroźniejszy i właściwie jedyny wróg srebrnego wojownika, miał się z pyszna, powalony potężnymi ciosami przednich łap wehfeta, który zazwyczaj uciekał – lecz postawiony w sytuacji bez wyjścia stawiał rozpaczliwy i nierzadko skuteczny opór. Srebrni wojownicy z hestsami walczyli wyłącznie pieszo, bo wehfety w takim starciu bywały nieobliczalne. Puszczone wolno, mogły się obronić, a nawet dać wsparcie swoim panom. Obciążone jeźdźcami nie umiały uciec ani skutecznie walczyć, próbowały zaś robić jedno albo drugie, utrudniając lub nawet uniemożliwiając walkę wojownikom.

Kolejny całodzienny przemarsz nie zakończył się biwakiem jak poprzedni. Niezbyt szybkie, lecz szalenie wytrzymałe wierzchowce mogły iść przez wiele dni bez przerwy – zarówno one, jak i wojownicy potrafili odpoczywać w marszu. W tym świecie nic nie spało tak jak istoty pod niebem Szerni. Niektóre zmysły czuwały, inne były odłączane, a raczej tylko wytłumiane kolejno, bo alerski pół-

sen mógł być głęboki lub płytszy. Myśli spowalniały bieg; rozmowa była prawie niemożliwa, poruszenia wolniejsze i mniej dokładne niż na jawie – niemniej prowadzenie wehfeta śladem wiodącego oddział, nieśpiącego przewodnika nie nastroczało trudności. Tak samo półczuwały wierzchowce, świetnie widzące w mroku.

Oddział zatrzymał się dopiero następnego dnia po południu. Z myślą o wehfetach wybrano miejsce w pobliżu dużego skupiska jasnozielonych roślin. Rozbito obóz, rozpakowano więcej juków niż na poprzednim biwaku. Chyba planowano obozować tu dłużej. Wierzchowce napojono w pobliskim strumieniu, który na długości kilkunastu kroków wyłaniał się spod Mchokrywy, by zaraz znów pod nią uciec. Posilili się także jeźdźcy.

Wkrótce podjęto marsz, już pieszo. W obozie zostało kilku strażników.

Wieżowe korzenie Nadrośliny wbijały się w grunt. Wojownicy wybrali jeden – najpotężniejszy ze wszystkich, gruzłowaty, spękany, pełen uchwytów dla dłoni, a nawet gigantycznych pęknięć i szczelin, z których można było korzystać niczym z górskich ścieżek. Z niezwykłą sprawnością pięli się w górę, czasem tylko pomagając najstarszemu towarzyszowi, który też radził sobie nadzwyczaj dobrze, ale już nie potrafił przeskoczyć na odległy o dziesięć kroków występ. Niemniej okazało się wkrótce, że wciąż umie biegać: przemierzył w ten sposób wyjątkowo równy odcinek „ścieżki” i nabrawszy rozpędu, przeskoczył do następnej szczeliny. Bez rozbiegu wykonać takiego skoku już nie potrafił, ale po nabraniu szybkości owszem. Byłby to wyczyn trudny albo wprost niemożliwy nawet dla młodego i sprawnego człowieka.

Lecz szehi – bo tak o sobie mówili wojownicy Srebrnych Plemion – nie byli przecież ludźmi.

Brzuch Nadrośliny w wielu miejscach zwieszał się nisko, gdzie indziej uciekał do góry. Tutaj trwał na średniej wysokości; gdyby dało się iść ku niemu przez powietrze, wystarczyłoby czterdzieści kroków.

Oglądana z bliska Nadroślina wcale nie była zwartym kłębem. Jej szerokie ramiona tworzyły sieć podniebnych traktów. Jeśli szczeliny w wieżowym korzeniu podobne były nieco do górskich żlebow, to obrosnięte mniejszymi gałęziami konary przywodziły na myśl rzadko uczęszczane leśne ścieżki. Drogę torowali zmieniający się wojownicy z żelaznymi toporami i mieczami. Wszędzie dałoby się przejść bez wycinania zagradzających drogę gałęzi, ale w niektórych miejscach byłoby to połączone z ryzykiem lub znaczną stratą czasu. Właśnie wtedy używano zdobyczej żelaznej broni.

Wkrótce zresztą zaniechano wyrąbywania drogi. Odcięte gałęzie i liście spadały w dół, a uderzeniom ostrzy towarzyszył hałas. Przedzierający się przez Nadroślinę oddziałek nie chciał zwracać na siebie uwagi. Był to chyba nadmiar ostrożności, bo hestsy nie umiały się wspinać po korzeniach-wieżach, a o dostrzeżonych śladach podniebnej wędrówki szybko zapominały. Ich rozum pozwalał na podtrzymywanie – bo już nie rozniecanie – ognia oraz użycie w walce kija lub kamienia; to była granica możliwości.

Daleko, daleko z przodu, w dole, coraz wyraźniej majaczyła plama światła, rozpostarta na czymś, co było chyba ogromną polaną.

Z bliska – raczej wiatrołomem. Kataklizm musiał przejść dosyć dawno, bo powalone, porozrywane zagaj-

niki zupełnie już wyschły i zbrązowiały. Rozrzucone wszędzie łodygi, a także konary i gałęzie Nadrośliny były martwe od miesięcy, a może nawet lat.

Szehi nigdy nie zetknęli się z prochem, wynalezionym pod niebem Szerni, bo używano go tylko na morzach. Gdyby było inaczej, uznaliby pewnie, że ogromny lej zięjący w środku wiatrołomu mógł powstać w wyniku wybuchu tysiąca beczek prochu.

Pusta przestrzeń przywodziła na myśl olbrzymie mrowisko. Na odartym z mchu skalistym gruncie przemieszczały się bez ładu i składu setki rudych stworów, niewielkich tylko dlatego, że odległych. To miejsce przyciągało sfory hestsów z okolic oddalonych nawet o kilkanaście dni marszu. Stada mieszały się, koczowały; hestsy stale walczyły ze sobą i pożerały trupy zabitych. Wszystko to działo się na obrzeżach wyrwanej w ziemi dziury, owego wielkiego leja, będącego chyba dziełem wybuchu.

W samym środku tej wyrwy – coś było i coś się działo. Niemające żadnego odpowiednika w normalnym świecie zjawisko wymykało się opisowi, wzrok prześlizgiwał się po czymś, co rosło i malało jednocześnie, oddalało się i zbliżało, lecz nie było żadnym pulsowaniem, było... sprzecznością. Obrazem czegoś niemożliwego, płaskiego i wypukłego, wąskiego i szerokiego... Oko żadnego stworzenia nie mogło prawidłowo ogarnąć i ocenić rzeczy, a może zjawiska przewijającego się przez kilka równoległych światów i czasów.

Po obrzeżach leja krążył szary wir, przypominający szeroką na dwadzieścia kroków i niewiele wyższą trąbę powietrzną. Hestsy, rycząc, uciekały mu z drogi, wir zaś gładził kolejne skały, mające rozmaite kształty, ale

podobne wielkością, nieco krócej zatrzymywał się przy klocach drewna, pochodzących chyba z połamanych konarów Nadrośliny. Odłupane kawałki pryskały na boki, raniąc rude stwory. Wyłaniały się, wolno rzeźbione przez wir... posągi? Mniej lub bardziej toporne figury, niektóre ledwie zaczęte, inne prawie skończone. Niewyraźne i słabo widoczne spod brzucha Nadrośliny, stale przysłaniające przez cielska hestsów, to znów rozmyte w krążącym wolno wirze, który nie kończył dzieła, a tylko posuwał się dalej, dotykając na chwilę kolejnej skały albo kłosa i już pełznąc ku następnym.

Na przekradający się po konarach oddziałek (dokładano tam teraz wszelkich starań, by nic na dole nie dostrzegło poruszeń w Nadroślinie) ktoś czekał. Kilku srebrnych wojowników pokazało się pobratymcom. Ci szehi wartowali tu od wielu dni, stale obserwując to, co w dole. Teraz wskazywali przybyłym miejsca, gdzie mogli odpocząć, bo zrobiono tutaj coś w rodzaju stałego obozu, w gęstwinę wpleciono nawet daszki chroniące przed deszczem, a pod nimi plecione hamaki. Niewidoczne z dołu stanowiska były świetnymi i wcale wygodnymi punktami obserwacyjnymi.

Poruszano się ostrożnie, lecz w zamian nie dbano o ciszę. Sfory na dole ryczały i ujadały. Nie zachodziła obawa, że ktokolwiek coś usłyszy w tym zwierzęcym zgiełku.

Dowódca przybyłych wymienił wieści z dowódcą oczekujących, który wskazał odległy brzeg leja. Trudno było dostrzec, ale chyba majaczył tam, obsiadły przez Złote Plemię, prawie gotowy posąg.

A jednak musiały minąć jeszcze trzy dni, nim dzieło zostało naprawdę ukończone.

Wir krążył po obrzeżach tak wolno, że śledziło go stale tylko czworo oczu. Dopiero gdy zbliżał się do przeciwnego brzegu leja, do prawie ukończonego posągu, obserwowali wszyscy. Aż za którymś razem zatrzymał się – i nie popłynął dalej.

W gromadzie shehich wszczęło się poruszenie, bo na tę właśnie chwilę czekali. Zwracano się ku starcowi, czyniąc gesty niezrozumiałe dla istot pod niebem Szerni, lecz tutaj wyrażające niezwykle splątane uczucia. Prawie nikt nic nie mówił, bo shehi o uczuciach nie mówili. Zawsze zdradzali je tylko mową ciała.

Starzec odpowiedział samym wyrazem twarzy: otworzył lekko usta, wąskie nozdrza zwęziły się jeszcze bardziej i nieomal zamknęły. Był to uśmiech, ale bardzo smutny.

Wir na krawędzi leja zaczął maleć, jakby wnikał lub wsiąkał w obrobiony kamień. Po pewnym czasie zniknął.

Wtedy skała ożyła.

Z niebywałym rykiem hestsy rzuciły się we wszystkie strony świata, większość byle dalej od leja, ale inne atakowały ruchomy posąg, pokrywając go kłębem ciał. Tej wzmożonej ruchliwości wokół wykrotu towarzyszyło coś przeciwnego w jego głębi: wszystkie trudne do zaobserwowania i nazwania zjawiska, owe pulsujące poruszenia niemożliwych kształtów, wyraźnie tam zamierały.

Wydawało się, że ujadanie i zwierzęce ryki na dole nie przepuszczą żadnego innego dźwięku, mogłyby zagłuszyć nawet huk pioruna. A jednak głos starca shehich został usłyszany – nie był głosem, który mogło wydać jakiekolwiek gardło. Zaczęte i prawie skończone rzeźby na polanie w dole wybuchały pojedynczo albo razem, cza-

sem niszczona była zwarta grupa, kiedy indziej rozpadały się kamienne i drewniane bryły w oddalonych od siebie miejscach. Rozrywane na strzępy rude cielska mieszały się z rozbryzniętym piaskiem, skałami, żwirem i suchymi resztkami roślin. Nagle poderwały się ku górze wszystkie krawędzie jamy, na całym jej obwodzie. Niebawem masy skał, ziemi, żywych i martwych już hestsów, wszystko to zwały się w głąb leja, zasypując go niemal do połowy. Potem rozbrzmiewały już tylko coraz dalsze ryki stworów, w panicznej ucieczce czmychających z polany ku opiekuńczemu półmrokowi. Wkrótce zamarł wszelki ruch w zasięgu wzroku, tylko w głębi i na obrzeżach dziury tarzały się, pełzały i ujadały okaleczone, poranione rude bestie, niezdolne do ucieczki, czasem zdychające pod warstwą ziemi i skał, częściowo lub całkowicie pogrzebane żywcem.

W obozowisku na konarach Nadrośliny zmieniono wartę, zostawiono całą przyniesioną żywność i wodę. Oddział szechich ruszył z powrotem do miejsca, gdzie czekały wehfety. Mogło się zdarzyć, że jakaś uciekająca sfora przypadkiem tamtędy przebiegła i wymordowała zarówno zwierzęta, jak i nielicznych wartowników. Wówczas oddział musiałby wracać pieszo, bez żadnych zapasów, obarczony ponadto ciałem sędziwego towarzysza, na którego twarzy zamarł ostatni smutny uśmiech.

ROZDZIAŁ 1



Karawany kupieckie rzadko za-jeżdżały do wiosek, czasem tylko zatrzymywały się w tych mijanych po drodze, przy czym bardziej chodziło o nocleg, a mniej o zarobek. Sunęły po traktach łączących wielkie miasta i wyładowywały towary tam, gdzie obroty były największe. Pod Północną Granicę zwyczajne karawany nie zapuszczały się nigdy.

Ponieważ jednak handel nie znosi próżni, plony, którymi gardziły potężne przedsiębiorstwa, bardzo chętnie zbierał drobny handlarz. Czasem był to człowiek na mule, prowadzący dwa inne, objuczone, a za nim syn lub siostrzeniec prowadził jeszcze dwa. Trochę rzadziej przyjeżdżał wóz, przeważnie mały, dwukołowy, zadaszony płótnem. Ale zdarzało się, że przybywała maleńka karawana. I tak właśnie było tym razem.

Dwaj podróżujący razem kupcy przywieźli do wioski dwa wozy – w tym jeden duży, czterokołowy – i trzy

pary zwierząt jucznych. Kupcom towarzyszyli pomocnicy i jakiś starszy wiekiem podróżny. Takiej karawany nigdy w Nateli nie widziano. Wieś była ludna i wcale zamożna, leżała jednak mocno na uboczu; prawdę rzekłszy, mało kto w ogóle o niej wiedział, tym bardziej więc nie zaglądał. A już odkąd poszły wieści o wojnie, na Północ nie zapuszczał się nikt.

Jesień męczyła drobnym śniegiem z deszczem. Dzieciarnia z niehumanym wrzaskiem pędziła obok wozów tam i nazad, rozchlapując zimne kałuże pełne gnijących liści. Zaciekawieni i uradowani mieszkańcy wychodzili na progi domów. Ale i przybysze wyglądali na zadowolonych. Z wyraźnym ukontentowaniem spoglądali na solidne domostwa, wypasione prosiaki w obejściach, chędogo odzianych chłopów. Na zwiędłej już łące pasło się naprawdę piękne stado kóz, były i krowy. Trafili do istnej kopalni srebra. Obiecywano im, że tak właśnie będzie, ale kto mógł przypuścić, że nie skłamano ani słowem?...

Duża, naprawdę duża i zamożna wieś! Warto było nadłożyć drogi. Kupieckie oko bez trudu dojrzało szczerze zainteresowanie mieszkańców, a to znaczyło, że niecodziennie ktoś tutaj wystawia towary na sprzedaż. Chłopi w wioskach przy głównych traktach wybrzydźali i nauczyli się łupić podróżnych, bezwstydnie zdzierając za noclegi. Wszyscy tam mieli wszystko, a jeżeli czegoś zabrakło, mogli w każdej chwili dokupić. Lecz tutaj?...

Żelazne narzędzia, a nawet broń (armektański wieśniak, bywało, kupował wojskowy łuk i strzały, marząc o wojskowej przyszłości dla syna albo córki – czasem składały się na zakup dwa, trzy gospodarstwa). Wełniane pledy, odzienie, tkaniny, tasiemki i wstążki, porządne

igły i nici. Ozdoby dla kobiet. Nawet wino – ten tajemniczy, pyszny napój przyrządzany z prawie nieznanym w północnym Armeckie owoców, któremu w wioskach przypisywano właściwości lecznicze. Wszystko to mogło znaleźć nabywców. Armekański chłop rzadko był nędzarzem, mieszkańcy niektórych wiosek potrafili uciąć naprawdę sporo grosza.

W zamian udawało się tanio kupić futra i skóry, bo w lasach na Północnej Granicy chłopci mieli prawo polować. Albo zioła lecznicze, a szczególnie te babskie na niezajście w ciążę lub spędzenie płodu – niektóre wioski miały tego ile chcieć, za to w miastach stale brakowało; wielkomiejskie kobiety, wielkie panie, którym poprzewracało się w głowach, wcale nie pragnęły mieć dzieci. Mieli też chłopci różne nadwyżki pozostałe po spłaceniu daniny, a jeszcze dary lasu. Wieśniakom nie opłacało się i nie chciało iść do dalekiego miasta, by sprzedać kilka wianków suszonych grzybów. Ale oddać kupcowi, który właśnie przyjechał, w zamian za wstążkę dla córki?

Te same grzyby w wielkim mieście warte były pięciu takich wstążek, a kupcy umieli liczyć. Handel wymienny prowadzono więc z wielkim rozmachem, a że był ciekawszy od pieniężnego, świetnie się przy tym bawiono. I sprzeczano, ale zwykle życzliwie, bo jednym i drugim zależało.

Wozy zatrzymały się na małym placu w środku wsi. Świadom miejscowych obyczajów kupiec zszedł z wozu i poprosił o rozmowę ze „starszym”. W południowym, a nawet środkowym Armeckie nie za bardzo pamiętano o wioskowej hierarchii, ale im dalej na północ, tym bardziej rosło znaczenie naczelnika. Tutaj, na Północnej

Granicy, każdą osadą kierował jakiś rzutki, niebojący się podejmowania decyzji człowiek. Armektańsko-alerskie pogranicze nawet w znacznie spokojniejszych czasach było krajem niezbyt przyjaznym, czasem niebezpiecznym, a w najlepszym wypadku trochę dzikim. W takich warunkach trudno było się obejść bez przywódcy z prawdziwego zdarzenia.

Wokół wozów coraz liczniej zbierali się wieśniacy, szczególnie dzieciarnia i kobiety, ale przyszło też kilku mężczyzn. Brwi handlarza powędrowały w górę – dobiegał pięćdziesiątki, przemierzył świat i niejedno już widział, ale teraz godnie kroczył ku niemu najmłodszy „starszy wioski”, jakiego mógł oczekiwać. Wzrostu męskiego, już nie chudy, przeciwnie – raczej barczysty, miał jednak najwyżej szesnaście lat. Prędzej jednak piętnaście niż szesnaście (w tym wieku to znacząca różnica). Wskazywały na to niewyostrzone jeszcze rysy twarzy i naprawdę bardzo słabe coś, co za jakiś czas miało być wąsem.

Sytuacja wyjaśniła się szybko.

– Witaj, panie, ty i twoi towarzysze – powiedział młody człowiek bardzo uprzejmie, ale nie uniżenie, zresztą zaskakująco swobodnie; głos miał już męski, nie chłopięcy. – Ojca nie ma, wróci nieprędko. Nigdy nie mieliśmy w Nateli starszego wioski, bo... No, to właśnie przez ojca. – Rozłożył ręce i uśmiechnął się, a nadstawiający ucha chłopci z jakiegoś powodu wybuchnęli śmiechem. – Jesteście tu mile widziani. Na pewno nikt we wsi nie za protestuje, jeśli poproszę, byście byli naszymi gośćmi.

Chłopi tak nie mówili. Nigdzie, nawet tutaj w Armekcie, gdzie wędrowni bakalarze uczyli dziatwę sztuki

czytania i pisanie, rozprawiali o historii, objaśniali zwyczaje i tradycje najstarszego narodu Szereru. Piętnastolatek nie wyglądał zresztą na chłopskiego syna. Nie wskazywał na to strój, a tym bardziej ręce, nieznające ciężkiej pracy, czyste, z niepołamanymi paznokciami.

Nie mógł jednak być synem właściciela wsi; to była wieś imperialna, nie prywatna. Trochę tajemnicza sprawa, chociaż z drugiej strony...

– Dziękuję, młody panie. Jeśli to możliwe, zatrzymamy się na dwa lub trzy dni.

– Tak długo, jak tylko chcecie. Poproszę, by wskazano wam pomieszczenia dla zwierząt. Czy macie jakieś specjalne życzenia lub pytania, wasza godność?

– Tylko jedno: gdzie cię szukać, panie, gdyby...

Uczynił niejasny gest.

– Gdyby coś? – odpowiedział wesoło chłopak. – Gdyby coś, to mieszkam... o, tam.

Kupiec spojrzał. Za drzewami, trudny w pierwszej chwili do zauważenia, stał okazały dom. I to nie był dom wieśniaka, choćby najbogatszego. Większy, z poddaszem, które na pewno było poddaszem mieszkalnym, różnił się od pozostałych. Nie otaczały go zwykłe zabudowania gospodarcze, nie było chlewu, stodoły, obory. Pysniło się za to coś, co wyglądało na obszerną, bardzo wygodną dla czworonogów stajnię. Konie. Drogie zwierzęta, na które nie stać chłopą. Nawet armektańskiego.

Po obszernym podwórzu biegały trzy psy, z którymi bawiła się dziewczynka. Psy myśliwskie.

Kupiec powziął już pewne podejrzenie, które teraz się chyba potwierdziło. Nie za dobrze znał te strony i panujące zwyczaje, ale słyszał, że przy niektórych wioskach

imperialnych właśnie tutaj, na Północnej Granicy, buduje się takie domy dla zarządcy-niezarządcy, opiekuna-nieopiekuna... Dla niebędącego chłopem osadnika; kogoś, kto nie jest żołnierzem ani żadnym imperialnym urzędnikiem, a tylko wolnym – ale to zupełnie wolnym, inaczej przecież niż zwykły wieśniak – człowiekiem. Kimś, kto samą obecnością zaświadcza: „Tak, chcę tutaj mieszkać, choć nie muszę, nie odpracowuję żadnej wolnizny”. To ośmielało, dodawało chłopom pewności siebie i przyciągało nowych osadników. Ziemia na północy była tania. Podarowanie komuś jej skrawka – zazwyczaj tyle, ile zajmował dom i przyległe zabudowania – niewiele kosztowało, a obiecywało wprawdzie trudno policzalne, ale jednak wymierne korzyści.

– Mamy piwowara – powiedział jeszcze chłopak, który już odchodził, ale przystanął, przypomniawszy sobie o tak ważnej dla podróżnych sprawie. – Gdzie piwowar, tam i karczma. Nie taka, jak w miastach, ale... grzane piwo na pewno się znajdzie.

Wskazał palcem kierunek.

– Tamten dom. Ten szyld wycięty z deski wyobraża, hm, dzbanek.

W samej rzeczy. Zawieszony u strzechy, chwiał się na wietrze bombiasty dzban z pociemniałego od wilgoci drewna. Jeśli ktoś wiedział, na co patrzy, mógł się łatwo doszukać nawet ucha i dziobka.

To nie była przecież wiadomość dla przybyszów (bo jakich?...), a miejscowi wiedzieli, gdzie jest „karczma”. Chłopisko podpatrzyło zapewne szyld oberży w jakimś miasteczku i też chciało być takie światowe.

No, to było.

Wokół wozów panował rozgardiasz. Pomocnicy użerali się z dzieciarnią, gotową wcisnąć się wszędzie, byle tylko podejrzeć, a może i zwędzić przywiezione skarby.

Chłopak wrócił raz jeszcze.

– Przebacz, panie. Staram się jak mogę, ale pierwszy raz czynię honory gospodarza i ciągle o czymś zapominam – powiedział szczerze, trochę zakłopotany. – Jest zbyt zimno, byście nocowali na swych wozach. Nie szukajcie nigdzie noclegów. W przybudówce przy domu pomieszkują nasz pacholek, ale teraz go nie ma, zresztą już jesienią przeprowadza się do domu, bo to nie jest schronienie na cały rok. Ale na kilka dni, czy choćby tydzień, wystarczy. Domek stoi pusty, jest tam całkiem duża i wygodna izba. Nie sprawicie żadnego kłopotu.

– Jeszcze raz dziękuję, młody panie.

Kupiec miał trzech synów, a najmłodszy z nich liczył sobie siedemnaście wiosen, był więc niewiele starszy od gospodarza Nateli. Handlarzowi spodobała się skromność, prostota i obycie rozmówcy.

Przybysze zajęli się wyprzęganiem zwierząt od wozów. Chłopi życzliwie garnęli się z pomocą. O tej porze roku nikt nie narzekał na nadmiar zajęć, a przybycie karawany było nie lada wydarzeniem.

Chłopak wrócił do domu. W obszernej sieni przytupnął parę razy, starannie strząsając błoto z obuwia. W następnym pomieszczeniu leżał na podłodze całkiem ładny kobierczyk – żał było niepotrzebnie pobrudzić takie coś.

– Wenew? – zapytano; głos był głosem kobiety.

– Tak, to ja, już jestem – odparł, wchodząc do dużej izby, solidnie ogrzanej płonącym w palenisku drewnem. – Dwa wozy i sześć mułów, to prawdziwa karawana! – konty-

nuował z uśmiechem. – Ale będzie się działo! Dziewczyny aż piszczą do tego, co jest do kupienia. A ty nie pójdziesz zobaczyć? Kiedy ostatni raz kupiłaś sobie cokolwiek?

– Nie pamiętam. W Kirlanie.

Z namysłem przekrzywił głowę.

– Niczego ci w imieniu ojca nie obiecuję. Ale wydaje mi się, Sajlo, że on chce cię tam odesłać z powrotem.

Otworzyła szeroko oczy i przysięgłaby, że poróżwiała na policzkach.

– Jeśli mnie zapyta o zdanie – dorzucił – doradzę mu, żeby tak zrobił. Chociaż będzie mi ciebie brakowało, no wiesz.

Mrugnął okiem.

W odpowiedzi pokazała mu język.

Była... dobrą nauczycielką. Udzielała lekcji, których oczekiwano, ale wszystko przecież można robić tak albo siak. A ona uczyła, można by powiedzieć, i tak, i siak.

Pierwszy raz przyszło mu do głowy, że ojciec sprowadził Sajlę z powrotem nie tylko do opieki nad jego młodszą siostrą.

Niewolnica – jedyna, jaką mieli. Wyzwolona, bo choć sprzedano ją jako tanią dziewczynę do prac, to została niewolnicą domu, najpierw towarzyszką zabaw, zarazem zaś opiekunką starszej córki swego właściciela. W Armekcie uważano, że domowa służba powinna być wolna. Odstępstwem od tej zasady były tylko Perły. Ale te żywe klejnoty bardzo rzadko marzyły o wolności. Może dopiero na starość.

Ojciec wyzwolił Sajlę i zapytał ją, wolną już kobietę, czy chce zostać. Wtedy po raz ostatni rzuciła mu się do nóg. Prosta, niezbyt ładna wiejska dziewczyna, która

kiedyś sprzedała się w niewolę, nie śmiała nawet marzyć o podobnej przyszłości. Miała być wolną służącą w dostatnim domu, gdzie traktowano ją nie tylko jak człowieka, ale prawie jak członka rodziny. A pełne utrzymanie, dach nad głową – to było bardzo dużo. Wygodne życie bez pospolitych trosk.

Co nie znaczyło, że odtąd wszystko zawsze się jej podobało, i Wenew dobrze to widział. Jeśli gdzieś była naprawdę szczęśliwa, to w Kirlanie, towarzysząc jego siostrze. Została odwołana, bo wydawało się, że bardziej potrzebna jest tutaj. Nie poskarżyła się oczywiście ani słowem, ale było zupełnie jasne, że życie w stolicy miało się całkiem nijak do życia na wiejskim wygnaniu. Dwie młode kobiety, osiemnastoletnia pani i jej o cztery lata starsza przyjaciółka-służąca, niebogate, ale i nieubogie, w wielkim mieście miały świat u swych stóp. Tutaj nawet nie było jak nosić tych kiecek, w których tam się chodziło.

Lecz ojciec uznał, że w domu, w Nateli, roztrzepana mała Akea bardziej potrzebuje towarzystwa i opieki niż rozsądna Emira w Kirlanie.

Młody Wenewet zamyślił się i na chwilę zapomniał, że trzeba by dokończyć rozmowę. Zamyślił się, bo zajmował czyjeś miejsce, właśnie przyjął kupców we wsi i trochę „z rozpędu” na wszystko starał się patrzeć oczami ojca.

– Idź. No idź, i zabierz Akeę – powiedział, bo nagle się przecknął.

Jedenastolatka podsłuchiwała pod drzwiami. Wypadła z drugiej izby i rzuciła się bratu na szyję, bo wcześniej nie pozwolił jej iść. Nawet podał jakiś wydumany powód, ale w istocie po prostu się bał, że niesforna siostrzyczka zacznie go przedrzeźniać wobec kupców albo zrobi nie

wiadomo co. A tymczasem, na życzenie społeczności występując w zastępstwie ojca, był o wiele bardziej przejęty, niż chciał komukolwiek okazać.

Sajla narzuciła na ramiona gruby wełniany serdak, zabrała drugi dla swej towarzyszki i wzięła ją za rękę. Były do siebie tak podobne, jak mogły być niespokrewnione Armektanki: tak samo czarnowłose i brązowookie, z warkoczami przerzuconymi na piersi, trochę smagłe, o trójkątnych, zakończonych drobnymi podbródkami twarzach. Zaśmiał się nagle; trochę za dużo tych sióstr...

– Nie, nic – powiedział. – Jesteście takie podobne.

Popatrzyły na siebie. Akea nadal trzymała Sajlę za rękę.

– Pieniądze – przypomniał.

Sajla uznała, że nie warto brać.

– Towary wyłożą dopiero po południu – wytłumaczyła. – Teraz odpoczną, napiją się piwa. Zawsze tak robią. Aż wszyscy, którzy chcą coś kupić, nie będą mogli się doczekać.

Na pewno wiedziała, co mówi. Właściwie to chyba ona powinna przyjąć tych kupców. Niby też spędził kilka lat w wielkim mieście, no ale... Dwunasto-, a nawet czterna-stolatek niewiele dowiedział się o świecie, albo raczej: dowiedział się bardzo dużo, ale tylko tego, czego mógł się dowiedzieć w szkolnych murach. Sajla zobaczyła i zrozumiała dziesięć razy więcej.

Stały przy drzwiach, czekając, co powie. O czym? O pieniądzach: mają brać czy nie brać.

I Wenew po raz drugi uświadomił sobie, że nie jest swoim ojcem. Ojciec już dawno wyprawiłby je obie, nawet nie przerywając zwykłych zajęć. A on stał i dumiał nad każdym słowem, jakby posłanie młodej panienki

i służącej na zakupy było doniosłą decyzją, wymagającą rozważań.

– Bierzcie pieniądze albo nie bierzcie, już was tutaj nie ma – powiedział.

– Zaraz wrócimy.

– Sajlaa! – powiedziała z wyrzutem i urazą Akea. – Wcale nie wrócimy zaraz!

Poszły i Wenewet został sam.

Rozsiadł się przy stole (ani o tym myśląc, wybrał sobie ojcowskie krzesło) i wyglądał przez okno. Obrzydliwie mokry śnieg zgęstniał, płatki zgrubiały. Już chyba nie były przetykane deszczem, ale i tak topniały prawie natychmiast po zetknięciu z ziemią. Najpaskudniejsza pora roku. Już nie jesień, a jeszcze nie zima.

Prawdę mówiąc, podekscytowanie mieszkańców wioski udzieliło się i jemu. Przez trzy lata mieszkał w Kirlanie, gdzie nie brakło niczego – przekupniów i straganów było więcej niż drzew, handlowano wszystkim i wszędzie. Stolica! Ale pół roku temu skończył naukę i wrócił do Nateli. Teraz uświadomił sobie, że podobnie jak Sajla, także i on od kilku miesięcy niczego nie kupił. A wielu rzeczy bardzo potrzebował.

Najbardziej zaś tego, co nic nie kosztowało. Wieści, plotek, może zwykłej rozmowy. Z kimś, kto nie był chłopen, myślącym tylko o robocie na roli i krowie, którą właśnie sparla kolka.

Młody Wenewet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go odmienił pobyt w mieście. Kochał i szanował ojca, żył się z wieśniakami, wśród których dorastał. Ale potem przez trzy długie lata otaczali go zupełnie inni ludzie, inne sprawy. Wrócił do domu i ujrzał swojego rodzica –

szczerego i mądrego, ale w gruncie rzeczy prostego człowieka, z którym trudno było porozmawiać. Który nigdy nie brał udziału w wielkim święcie na ulicach stolicy, ledwie słyszał o czymś takim jak zawody zapaśnicze... Kiedyś ojciec wiedział wszystko – potem się okazało, że nie wie prawie nic. Wyrastał ponad przeciętność, ale chyba tylko tutaj, w Nateli. Wenew wstydził się, że jest mądrzejszy od ojca; bolało go to, bo coś stracił, choć nie umiał powiedzieć co. Najprędzej owo śmieszne, a tak potrzebne każdemu chłopcu przekonanie, że ojciec jest największy, najmądrzejszy. Że jest kimś zupełnie wyjątkowym.

W ciągu kilku minionych miesięcy wiele razy przyszło mu tęsknić za starszą o trzy lata siostrą, z którą mieszkał w Kirlanie. Emira była inna, zupełnie inna. Wiedziała wszystko o wszystkim, znała świat, potrafiła wszędzie się znaleźć. Nikogo nie pytała o zgodę na cokolwiek, a gdy czasem przyjeżdżała do domu, ojciec na te kilkanaście dni z nieskrywaną ulgą oddawał jej rządy i po wyjeździe córki długo nie umiał się pozbierać, bo nie bardzo pamiętał, gdzie odwiesił kapotę. Ale Emira szanowana była nawet przez takich ludzi jak urzędnicy imperium i oficerowie legii. Miała wielu niezwykłych przyjaciół, aż na koniec zyskała jeszcze jednego przyjaciela, największego, w osobie młodszego brata.

Nie znosił tej złośliwej mądrali, która kiedyś (ach, jakież to było szczęście!) wyjechała do Kirlanu. Lecz nie minęło wiele czasu, a ruszał w ślad za nią; wyjeżdżał z domu zdruzgotany, miał trafić pod władzę siostry.

A potem zmieniło się wszystko.

Matkowała mu tylko trochę, na samym początku. Raczek pokazała miasto, objaśniła to i tamto. Przestrzegła

przed czymś i powtórzyła tylko raz, dla pewności, a coś innego pochwaliła. Później robił, co uważał za słuszne, ona zaś mu ufała. I nie zawiodła się.

Zaufanie – znamie dojrzłości. Dzięki zaufaniu, którym mądrze obdarzyła go siostra, Wenewet stał się mężczyzną na dwa lata przed pełnoletnością.

Został jej oddany pod opiekę. Ale gdy wracał do domu, powiedziała pół żartem, pół serio: „Zostawiasz mnie bez opieki”. Uświadomił sobie wtedy coś ważnego.



Towarzyszący kupcom podróżny był starym bajaranem-gawędziarzem. W Armeckie, gdzie zbudowano najlepsze drogi Szereru, karawany kupieckie chętnie zabierały podróżnych, bo na przyzwoitym trakcie ciężar dodatkowego pasażera w bardzo niewielkim stopniu zużywał siły zwierząt pociągowych. Pieniądz uiszczony za przejazd nie cuchnął, a wędrowny grajek (takich zabierano najchętniej, i to nawet bez żadnej opłaty) był dodatkową atrakcją, przyciągającą ludzi w odwiedzanych miastach i miasteczkach.

Sławetna natelska karczma w istocie wcale nią nie była. Piwowar podejmował spragnionych w swoim domu, gdzie wielka izba służyła głównie za pole bitwy dla kilku najmłodszych jego pociech, żona zaś stawiała garnce piwa na dużym kwadratowym stole w kącie. Gdy pogoda dopisywała, przed domem pojawiał się inny stół, podłużny na krzyżakach, a przy nim dwie ławki. Teraz jednak pora roku nie sprzyjała wyszynkowi pod gołym niebem.

Ponieważ wobec takiego stanu rzeczy w całej wsi trudno było znaleźć odpowiednie miejsce do zgromadzeń, a śnieg z deszczem wciąż padał, niezawodni kupcy rozpięli między drzewami olbrzymi dach z żaglowego płótna. W rzeczywistości był to chyba stary żagiel, połatany i pocerowany, zdjęty z jakiegoś okrętu. Nie mógł już chwytać wiatru podczas morskich podróży, ale wciąż nieźle osłaniał przed kaprysmi pogody. Płachta chroniła zaimprovizowane kramy, znalazło się też miejsce dla gawędziarza, przy którym zaraz skupiła się gromadka siedzących w kucki dzieciaków i mężczyzn. Kobiety, przynajmniej na razie, myślały wyłącznie o wystawionych towarach, za to mężczyźni, ciekawi świata jak dzieci i żądni wiedzy o dziwnych wydarzeniach, obszernym kręgiem otoczyli bazarza; znalazł wdzięcznych słuchaczy. Dostał piwo. Zgłodniał – znalazła się bułka, trochę sera i kiszony ogórek. Krótka przerwa, gdy się posilał, była nawet bardzo pożądana, by wymienić uwagi, poroztrząsać zasłyszane wieści.

Zapadał wczesny o tej porze roku zmierzch, wkrótce więc nieliczne towary, pokazane głównie dla zachęty, powędrowały z powrotem na wozy. Niewielkie ognisko, przy którym słuchano wieści z dalekich stron, stało się najważniejszym punktem wioski. Przez nikogo nie niepokojony, Wenew przykucnął sobie z plecami opartymi o koło wozu; rozpoznał go kupiecki pomocnik, pozdrowił skinieniem i zostawił w spokoju, bo przecież nie zachodziła obawa, że „starszy wioski” coś skubnie.

Kimkolwiek był wiekowy podróżny, na pewno nie bazarzem łązęgą. Wenew dość ich widział w dziesiątkach stołecznych gospód. Teraz słuchał opowieści (niektóre

z nich znał, były stare jak Armekt), z namysłem marszcząc brwi, bo gdzieś już się zetknął z takim sposobem mówienia. Ale niezbyt długo się zastanawiał. Stary człowiek umiał opowiadać, a nie wszystkie historie były stare.

Wenewet – już nie chłopiec, ale jeszcze nie mężczyzna – całą duszą chłonał barwne opowieści o wojownikach, których nigdy nie mógł spotkać: o Samotnych Jeźdźcach, widywanych zawsze wtedy, gdy działo się coś niezwykłego; o Szarym Tabunie – najświetniejszym oddziale, jaki znały Równiny. Rozmówiony w swych tradycjach i historii Armekt sam z siebie chyba tworzył takie legendy; wyrastały z armektańskiej ziemi, ze stepów i lasów, by płynąć następnie ku wioskom i tam wsączać się w serca mieszkańców. Wojny księstw; ścierające się na ich granicach wielkie armie... Gromady Jeźdźców Równin, ludzi kochających tylko wolność i galop konia. Piesze legiony Sar Soa, złożone z najlepszych łuczników świata... Były tam wspaniałe czyny, poświęcenie dla wielkiej sprawy, oddawanie życia za przyjaciół. Wspaniałe zwycięstwa i równie chwalebne klęski. Dziesiątkami takich opowieści karmiono armektańskie dzieci, nim dorosły i odkryły, że to tylko baśnie.

No, może nie tylko. Przeplecione z historią, tworzyły stubarwne mozaiki, gdzie nie dało się odróżnić prawdy od nieprawdy.

Jednak, cokolwiek by mówić, te półbaśnie na zawsze już odmieniały dusze córek i synów Wielkich Równin. W najmarniejszym z wioskowych chłopów od urodzenia aż do śmierci mieszkał duch łuczника, który wespół z podobnymi sobie ludźmi podbił cały Szerer. W takiej Nateli lub innej podobnej wsi wieśniak pracował na roli, warzył

piwo, rąbał drwa i oporządzał obejście, lecz zawsze gotów był sobie przypomnieć, że pod Pasmami Szerni trwa uśpiony, ale nieśmiertelny, potężniejszy od wszystkich innych byt: Arilora. Pani Wojny i Śmierci, Los Wojenny. Potęga głucha i ślepa, bezrozumna zupełnie jak Szern – a zarazem wspierająca każdego, kto odwagą i lojalnością wobec towarzyszy broni umiał sobie zaskarbić jej względy i uczynić przyjazną, nie wrogą.

Przypominała ogień, który mógł ogrzewać domostwa albo je spopielać. Czegoś tak potężnego nikt nie mógł traktować beztrzesko.

Wenewet osiągnął już wiek i dojrzałość pozwalające patrzeć na legendy tak, jak patrzeć należało: ciepło, lecz pobłażliwie. Czasem jednak wracały dziecięce marzenia. W wielkiej tajemnicy nawet przed samym sobą młody Armektańczyk sam tworzył kolejną legendę o Jeźdźcach. W tajemnicy – bo udawał, że właściwie tego nie robi; przecież tylko zabija czas. Mity rodziły się inaczej. Czyżby rzeczywiście wychodziły spod piór młodych, a niechby i starych mężczyzn, niemających nic do roboty?... Jeśli nawet nie pojawiały się same pod wysoko zawieszonym niebem Ri Silloru, to powstawały raczej przy obozowych ogniskach, gdzie z dymem niósł się zapach pieczonego, a ludzie z łukami w dłoniach wspominali swoje znakomite czyny. Nie tworzone ich chyba w ciepłych pokoikach na poddaszu?

Wenew nie pokazałby nikomu tych zapisanych przez siebie stronic. Były zwykłym łgarstwem. Oszustwem, bo prawie wszystko zmyślił: nie odtwarzał, a nawet nie ubarwiał żadnej zasłyszanej historii. Gorzej, bo piętnasto-, szesnastoletni mężczyzna, gdy nie myślał o koniu

i łuku, to mógł myśleć wyłącznie o jednym. Ruda Ajana, o której słyszał dziesięć legend, stawiała się oto bohaterką kolejnej, w której po równo bawiła się łukiem, jak i włóczniami wszystkich bez mała napotkanych mężczyzn... Szczególnie bardzo młodych i samotnie strzegących wiosek na końcu świata.

Kiedyś parsknął śmiechem, bo naraz policzył sobie, że Jeźdźczyni Ruda Ajana, o której słyszał od zawsze, musi być teraz osiemdziesięcioletnią, niemogącą dosiąść konia staruchą; mogła też spoczywać, jako szkielet, w zagajniku pod kupą zgniłych liści.

Tego dnia już nic nie napisał.

Starzec przy ognisku trochę się zmęczył. Chyba znowu był głodny – wyglądało na to, że zjeść i potrafi, i lubi. Zaraz ktoś przyniósł pół miski zimnej kaszy ze skwar-kami – to, co zostało z obiadu. I piwo.

Zamysłony Wenewet nawet nie zauważył, kiedy gawędziarz skończył jeść i podjął kolejną opowieść. Trzeba przyznać, że dziadek nie był darmozjadem. Teraz jednak mówił o czymś innym, nie snuł żadnej armektańskiej legendy.

Dzieciaki zaczynały się nudzić, ubywało ich przy ognisku, w zamian przybywało mężczyzn, przystanęło też kilka kobiet. Wieśniacy odgrzebywali w pamięci to, co każdemu przed laty, w szczenięcym wieku, wpajał wędrowny bakałarz; dziwili się obyczajom panującym w dalekim Złotym Dartanie, do których to obyczajów właśnie nawiązał mówca.

– W niektórych domach magnatów, wielkich panów dartańskich, panują nasze zwyczaje. Armektańskie. Dartan przez dwieście lat był prowincją Wiecznego Cesar-

stwa i skutki tego widać. Dobre skutki. Inaczej w domach rycerskich, a więc takich, które kultywują stare tradycje przodków.

– Tradycja, panie, to coś bardzo dobrego. – Jeden z chłopów trochę się obruszył.

– Są tradycje i tradycje. Najgorzej jest w domach mieszczańskich, i tak samo w chłopskich. Tam kobieta, właśnie tradycyjnie, wciąż jest traktowana inaczej niż mężczyzna.

– A jak?

Kobiet mogły nie obchodzić historie o wojnach i zamorskich krajach, ale o innych kobietach?... Aż dwie jednocześnie zadały to samo pytanie.

– Przedmiotowo.

Mówca starał się przybliżyć prostym ludziom sens trudniejszych słów – magnatów zaraz dodatkowo nazywał „wielkimi panami”, ale czasem jednak zapominał się i mówił po swojemu. Wenew już wiedział, kogo mu przywodzi na myśl ten przybysz. Nauczyciela ze szkoły w Kirlanie. Powinien to wiedzieć od razu, ale dach z żaglowego płótna, strój tego człowieka, chłopskie twarze wokół... To nie pasowało. Nie naprowadzało na właściwy trop.

– W Dartanie kobiety ochraniano, ale w zamian były zależne od mężczyzn. Wojownicy ginęli na wojnach. Kobiety musiały rodzić nowych wojowników.

– W Armekcie, panie, było jeszcze więcej wojen. Najbardziej tutaj, na Północy. Każdy dzieciak to wie – protestował ktoś.

– Dopieroś co, panie, sam opowiadał – przywodził drugi.

– Jesteśmy zdrowi. Długo żyjemy i rzadko chorujemy – powiedział Wenewet. – Starcy zachowują zęby, bardzo rzadko niedołążnieją. Stulatek? W co drugiej wsi.

Zaskoczeni chłopci zwrócili się ku niemu i młodzieniec stropił się pod spojrzeniem wielu par oczu, choć zwykle nie zbywało mu na śmiałości.

– Proszę bardzo, młody panie – zachęcił gawędziarz, nie kryjąc zaciekawienia.

– Kiedy ostatnio zmarło we wsi niemowlę? – zapytał Wenew. – Zdarza się, i wszyscy bolejemy. Ale jak często?

Powiódł spojrzeniem, bo trochę poniewczasie przyszło mu na myśl, że dotyka czyjegoś nieszczęścia. Jednakże w kręgu ludzi nie dostrzegł żadnego rodzica, który doświadczył straty dziecka. Kilkoro we wsi było.

Popatrzone po sobie.

– No, będzie cztery lata nazad. A wcześniej... ale nie, to nie u nas – rzekł ktoś po długiej chwili. – Gdzie indziej żem wtedy mieszkał. No i Raszka nie donosiła. Ale to co innego. No i jak dzieciaki się w stawie potopili. Tylko to już te większe.

– W całym Szererze dzieci umierają jak muchy. Najbardziej w wioskach. W Grombelardzie, Dartanie, wszędzie. A u nas, w Armekcie, zawsze dorastało ich więcej, niż można wyżywić – wytłumaczył Wenew. – Nie chorowały i nie umierały, ani one, ani ich matki w połogu. Zdarza się, bo zdarza się wszędzie, nawet w rodzinie cesarskiej. – Wszyscy wiedzieli, że księżę Awenor, najmłodszy syn starego Imperatora, stracił w ten sposób żonę, a wkrótce potem zmarło słabe dziecko. – Ale w Armekcie bardzo rzadko, o wiele rzadziej niż gdzie indziej. Kobiety nie musiały, a nawet nie mogły rodzić przez całe życie,

zamiast tego chodziły polować, żeby zażegnać widmo głodu w swojej wsi. „Kto ma pszczoły, ten ma miód; kto ma dzieci – głód i smród” – żartobliwie przypomniał stare porzekadło. – Armektańskie plemiona walczyły między sobą o nowe tereny łowieckie, a tym wojnom dodatkowo sprzyjał nadmiar młodych mężczyzn. Zresztą kobiet też. Niektóre chodziły na wojny z mężczyznami i tak jest do tej pory. Kobieta u nas nie była i nie jest workiem, z którego się wyjmuje kolejne dzieciaki.

– Trudno opowiedzieć o tym lepiej, a jeszcze tak pięknym językiem – orzekł starzec, już nawet nie z uznaniem, bo wręcz szczerym szacunkiem w głosie. – Jesteś, młody panie, człowiekiem bardzo gruntownie wykształconym. A gdzie, jeśli wolno mi spytać?...

– W Kirlanie.

– I przy której to, proszę, akademii?

– Wielkiej – powiedział Wenew, rumieniąc się mimo woli i właściwie nie wiadomo dlaczego.

– W szkole przy najlepszej uczelni Szereru – podsumował stary gawędziarz.

Stojący dokoła chłopci jęli oglądać siedzącego przy kupieckim wozie chłopca niczym jakieś dziwo. Każdy wiedział, że młody pan Wenewet wyjechał pobierać nauki. Ale teraz wychodziło na to, że wrócił jako wielki uczony, którego musiał uszanować siwowłosy starzec. Nikt tu się nie spodziewał czegoś podobnego.

– Zamierzasz tam wrócić, panie? – zapytał gawędziarz. – Bo na razie, jak sądzę, ukończyłeś tylko szkołę wstępną? Jakiś język, przypuszczam, że dartański, historia, no i wprowadzenie do wysokiego armektańskiego. I lektury, ma się rozumieć. Może nie poezja, ale sagi. Czy tak?

– Jeszcze trochę matematyki. Ale to naprawdę tylko trochę, same podstawy geometrii i algebry. Chyba każda szkoła uczy trochę inaczej, czegoś więcej albo czegoś mniej.

– Rzeczywiście.

– Nie wiem, czy wrócę. Jeszcze nie wiem, czego w ogóle chcę – odrzekł szczerze i otwarcie Wenew. – Bardziej teraz koń i łuk mi w głowie, a dzisiaj, panie, gdy słuchałem twoich opowieści, to zaraz mógłbym siodłać wierzchowca – zażartował. – Nauka na razie mi zbrzydła, ale jeśli nie wymyślę czegoś ciekawszego... Jeszcze nie wiem – powtórzył. – Właściwie, skoro pytasz, panie, dobrze mi było w szkole. Ale akademia?...

– Wykładałem tam.

– W Wielkiej Akademii?

– Jestem historykiem.

– Co więc tutaj robisz, wasza godność? Z kupcami?

Uczeni ze stołecznych akademii, a zresztą wszystkich uczelni imperium, byli ludźmi otaczanymi ogromnym szacunkiem, na dodatek nieubogimi, bo uczelnie hojnie dotowano. Wenew gotów był przypuścić, że starzec, z jakichś niejasnych powodów, zmyśla. Tylko pomylenieć zamieniłby życie akademickiego wykładowcy, traktowanego z taką samą atencją, jak najwyżsi oficerowie imperialnych legii i najdostojniejsi urzędnicy cesarstwa, na los obieżyświata gawędziarza.

– Wykładałem gościnnie przez dwa lata, potem wróciłem do swojej pracy. Ale ją także musiałem porzucić.

– Co robiłeś, panie?

– To już bez znaczenia. Świat się kończy, więc tym bardziej moja praca się nie liczy. Wojna potrwa najwy-

żej rok lub półtora. Niewiele zostało nam czasu. Nie roztrwonię go na coś, co nie ma żadnego sensu.

Dziwna rozmowa, niewiele mająca wspólnego z pięknymi mitami o Jeźdźcach, czy nawet gawędą o dalekich podróżach, coraz mniej podobała się chłopom, a i Wenew poczuł się cokolwiek zagubiony. Czyżby staremu człowiekowi rzeczywiście brakowało piątej klepki? Koniec świata... Nie zanosilo się. Niepokoje, a niechby wojenka na granicy (nic nowego w tych stronach), chyba tego nie zwiastowały.

Właśnie wojna, temat bardzo na czasie, żywo obchodziła wieśniaków. Jeden odkasznął i zapytał:

– Mówisz, że wojna, panie? Dużo słyszy się teraz, że Alerczyki wypuścili wielkie hordy, a granica przecie niedaleko. Mój ojciec widział wojnę z Alerem, wasza godność, tą, co była więcej jak ćwierć wieku nazad. Popalone wioski... Strasznie nasi się bili z potworami.

– Teraz będzie gorzej – obwieścił ponuro starzec. – Nie obronimy się.

Chłopi popatrzyli po sobie.

– Ejże, panie... Jak: nie obronimy? Nie ma lepszego wojska jak nasze. Aler zawsze wypuszczał hordy i zawsześmy go w końcu pobili.

– A teraz nie pobijemy.

– Młody panie, pozwól na słowo – mruknął ktoś za plecami Wenewa.

Chłopak obejrzał się i zobaczył przywódcę karawany. Wstał z ziemi, skinął głową starcowi, wokół którego coraz ciaśniej tłoczyli się zaniepokojeni chłopi, i poszedł za kupcem. Wciąż prosił przeplatany deszczem śnieg, co od razu dało się we znaki, gdy tylko wyszli spod płóciennego dachu.

– Niezręcznie mówić takie rzeczy młodemu człowiekowi – rzekł skrzywiony kupiec. – Wolałbym raczej namawiać cię, panie, do szacunku dla starszych. Ten tutaj jest stuknięty – oznajmił krótko, krzywiąc się jeszcze bardziej. – Nie słuchaj go, panie, szkoda czasu.

– Mówi, że wykładał w Wielkiej Akademii. Kiedy z nim rozmawiam, to naprawdę mi się wydaje, że to jeden z uczonych.

– Może był uczonym, może nie był. Od paru tygodni, odkąd go zabraliśmy, opowiada tylko wojnie i o końcu świata. Nie można już tego słuchać.

– Ale wojna rzeczywiście wybuchła.

– Jedna z wielu, nie pierwsza i nie ostatnia. Słuchałem cię tam trochę, panie, przy ognisku, i widzę, że dużo wiesz o świecie, jesteś nad wiek poważny i dojrzały. Gdyby wierzyć każdemu, kto po utarczce z Alerem wieścił koniec świata... Zawsze znajdzie się taki, co kracze. Tylko pomyśl.

– Chyba tak – przyznał Wenew. – Ale ten stary człowiek wydaje się bardzo mądry. To nie jest lamentująca baba z napadniętej przez Alerów wioski.

Kupiec popatrzył z namysłem.

– Jest stuknięty – powtórzył po chwili. – Słucham go od kilku tygodni i uwierz mi, młody panie. Jest stuknięty.

I chyba wiedział, co mówi.

ROZDZIAŁ 2



Kilkadziesiąt mil dalej, w komendanturze Rewinu, powiedzieliby to samo, ale bez tej pewności w głosie, którą miał przywódca kupieckiej karawany.

Pośród szeroko rozpostartych łąk i lasów, nad przepięknym jeziorem, brunatnoczerwona budowla, do której przytuiliła się osada służebna, wyglądała jak dziwo nie z tego świata. Potężne zamczysko nie pasowało tam do niczego; przede wszystkim było niesłychanie brzydkie, chciałoby się powiedzieć: brzydkie po armektańsku, bo naród władców świata, rozmiłowany w sztuce słowa, zarazem żywił nadzwyczajną niechęć do wszystkich innych sztuk, architektury nie wyłączając, a już szczególnie architektury wojskowej. W ogóle, gdy szło o sprawy związane z wojną, dziedziną dla Armektańczyka najbardziej godną szacunku, na zabawę i żarty brakowało miejsca. Bojowy ekwipunek używany przez Legię Armektańską, chociaż dobrej jakości, pozbawiony był jakichkolwiek ozdób,

niepodzielnie królowały oszczędność i prostota wykonania. Żołnierz Kraju Równin mógłby użyć – i używał – zdobionego dartańskiego oręża tylko wówczas, gdy zachodziła konieczność, bo inaczej byłby przekonany, że uwłacza Niepojętej Pani Losu Wojennego, wymachując grawerowaną zabawką z pozłacanym jelcem i szmaragdem w główicy rękojeści. Konieczność, taka jak utrata lub niedobór własnej broni, oczywiście to usprawiedliwiała. Podczas minionej wojny z Dartanem niedozbrojona Legia Armektańska szeroko wykorzystywała zdobywczy oręż – ale też pozbywała się go przy pierwszej okazji. Sprzedawano kosztowne cudeńka, kupując w ich miejsce prostą w wykonaniu broń armektańską, chociaż, prawdę mówiąc, solidność była jej największą zaletą, bo dopieszczone przez miecznika ostrze dartańskiego rycerza, mimo „niepoważnych” zdobień, niemal pod każdym względem górowało nad tanią głównią legionisty.

Ktoś, kto słabo rozumiał armektańskie podejście do wojny, musiał przystanąć zdumiony, jeśli nie wstrząśnięty, brzydotą najpotężniejszej fortecy Szereru. Nie wmurowano bodaj jednej cegły, nie położono nawet jednej dachówki więcej, niż to było niezbędne. Kołatka na furcie głównej bramy miała postać pierścienia przymocowanego do żelaznego cycka – gdyby wykonano ją na kształt wilczej głowy, komendant twierdzy niechybnie zachorowałby ze zgryzoty.

Czerwone armektańskie miasta, nietynkowana cegła poprzecinana na krzyż malowanymi na czarno belkami, wcale nie były brzydkie. Pojedynczy budynek straszył; zebrane razem – mniej. Podobne do siebie kamienice trwały w wojskowym ordynku, ulice tworzyły regularne

prostokąty i kwadraty, ale był w tej przejrzystości i prostocie jakiś wdzięk. Może lekkość. Te miasta wydawały się... bezpieczne. Przewidywalne.

Jednakże wojskowych budowli nijak to nie dotyczyło. Tutaj nie udało się połączyć prostoty z jakąkolwiek urodą. Najwięcej to miało wspólnego z posępnymi murami Grombelardu, chociaż tam budowano z kamienia, nie z cegły.

Koniecznien trzeba powiedzieć, że w środku paskudnej budowli Armektańczyk nie spoczął, póki nie uczynił jej jeszcze skrajnie niewygodną, bo sama prostota nie wystarczała. W wielu izbach, a i na korytarzach, budowano zupełnie niepotrzebne, płaskie stopnie. Służyły tylko do tego, by przypominać swą uciążliwością, iż syn i córka Wielkich Równin powinni być stale gotowi do wyrzeczeń i niewygód.

Nawet gdy siedzieli w przewygodnej pogranicznej twierdzy.

Rewin i podobny, trochę mniejszy Tor były pozostałościami po zamierzchłych czasach, gdy armektańskie królestwa i księstwa toczyły krwawe wojny. Rewin strzegł granic Królestwa Trzech Portów, Tor był przeciwwagą dla Rewinu, wzniesiono go na zachodniej granicy Wielkiego Księstwa Riny i Rapy. Po zjednoczeniu Armektu straciły na znaczeniu, ale gdy inne twierdze Szereru stopniowo popadały w ruinę, a niektóre wręcz zostały rozebrane, te dwie utrzymano, ze względu na długie linie stanicznych placówek, zbudowanych na Północnej Granicy dla obrony przed Alerami. Tor był stolicą Wojskowych Okręgów Wschodnich Pogranicza, Rewin Okręgów Zachodnich. To tutaj dosyłano i składowano niezbędne

zapasy, przygotowywano uzupełnienia i trzymano odwo-
dy. Szkolono, a właściwie nauczano, oficerów najwyższej
rangi, a więc tysięczników i nadtysięczników imperium,
bo Tor i Rewin były także wojskowymi uczelniami.



W Rewinie, w głównej bryle budowli, u podnóża prze-
cudnego stołpu o kształcie wynaturzonego grzyba, mieś-
ciła się Sala Odpraw.

Widziała niejedno – ale takiego grona chyba jeszcze
nie. Przeważali niewojskowi, dałoby się naliczyć nie więcej
niż dziesięć osób w białych, niebieskich i niebiesko-sza-
rych tunikach Legii Armektańskiej oraz Armektańskiej
Straży Morskiej (trzej przedstawiciele floty nosili hajda-
wery zamiast spódnic). Oprócz żołnierzy przy ogromnym
stole zasiadło jeszcze trzech mężczyzn i kobieta – mieli na
szyjach owalne medaliony o rozmiarach połowy dłoni, za-
wieszane na srebrnych, niezbyt grubych łańcuchach – było
to grono uczonych, przysłanych przez cztery wielkie uczel-
nie Trzech Portów. Osobną grupę stanowili urzędnicy im-
perium, choć należałoby rzec sprawiedliwiej: urzędnicz-
ki i urzędnicy, bo w tym dość licznym gronie było więcej
kobiet niż mężczyzn. Armektańczycy uważali, że kobiety,
mniej podatne na korupcję i nie tak łase na karierę dla sa-
mej kariery, znacznie lepiej sprawdzają się na najwyższych
stanowiskach tego rodzaju.

Miejsce u szczytu stołu samotnie zajmował pięćdzie-
sięcioletni, po męsku bardzo urodziwy mężczyzna, ze
skroniami przyprószonymi siwizną i tak samo przysre-
brzoną, krótko przyciętą brodą. Po lewicy miał Nadty-

sięcznika-Komendanta Wojskowych Okręgów Zachodnich Pogranicza, po prawej ręce zaś kobietę, ku której zwracały się wszystkie spojrzenia, bo w tym niezwykłym gronie wyróżniała się niezwykłością.

Siwiejący na skroniach mężczyzna był przedstawicielem i małżonkiem jej wysokości A.S.N.Wereny, cesarzowej Wiecznego Cesarstwa, a kobieta po jego prawicy nie używała na co dzień żadnych tytułów poza grzecznościowymi, jednak listy podpisywała zwyczajowo: lah'egri, Przyjęta przez Pasma. Jej godność Kesa była jedyną żyjącą historyczką Szerni i jedną z nielicznych kobiet, jakie w ogóle na przestrzeni dziejów zostały przyjęte przez wiszącą nad światem Potęgę.

Przykuwała spojrzenia. Już od kilku dni gościła w Rewinie i oswojono się z tym, kim jest. Ale nie z urodą. Wysoka i trochę zbyt szczupła czterdziestodwuletnia blondynka, o dumnie wygiętych brwiach i onieśmiałającym, iście królewskim spojrzeniu, miała urodę hodowlanej Perły. Zupełnie nieprzebrzmiała.

Kiedyś rzeczywiście była Perłą.

Może od stu lat nie widziano w tych murach kobiety o takiej urodzie. Albo w ogóle nigdy. Żołnierka Legii Armektańskiej, nawet jeśli ładna i młoda, musiała się obyć bez klejnotów, różu, czernidla do brwi... No i bez takiej sukni. Żeby choć armektańskiej – ale to był dartański brokat, w tym zamczysku aż nieprzyzwoity. Jedyna obecna w Sali Odpraw żołnierka, postawna i wcale niestara nadsetniczka, w swojej wojskowej tunice miała się do Przyjętej całkiem nijak.

Przy stole toczono spór. Nikt już chyba nad nim nie panował.

Pozornie.

Bo oto Księżę Małżonek odchrząknął i po chwili za-
legła cisza. Wiedział, że ludzie muszą się wygadać, a cza-
sem nawet pokłócić, więc pozwolił. Nie mogło to jednak
trwać w nieskończoność.

– Po dwóch dniach rozmów, bo chyba nie obrad – po-
wiedział z lekką ironią, ale bez śladu irytacji bądź gnie-
wu – jesteśmy w tym miejscu, z którego wyruszyliśmy. Ta
podróż nie może trwać wiecznie. Wprawdzie Cesarstwo
nazwaliśmy Wiecznym, ale to tylko nazwa. Spróbujmy
zaprowadzić porządek.

Odchylił się na oparcie krzesła, niewyściełanego, ra-
czej niewygodnego. Armektańskiego.

– Wojskowi swoje. – Skinął głową ku ludziom w mun-
durowych tunikach. – Wdeptać w ziemię wszystko, co
przyjdzie z tamtej strony. Wystarczy trochę więcej pie-
niędzy, trochę więcej żołnierzy i jasne rozkazy.

Można tu było dodać kilka „ale” i „jeżeli”, niemniej
w największym skrócie wszystko się zgadzało, więc nikt
nie zaprotestował.

– Urzędnicy swoje. – Teraz skłonił się lekko grup-
ce siedzącej przy drugim końcu stołu. – Nie może być
więcej pieniędzy, więcej żołnierzy i nie będzie jasnych
rozkazów przynajmniej tak długo, jak długo Rollayna
nie określi swojego stanowiska. Wobec możliwej wojny
z Dartanem, wiszącej w powietrzu już od półdekady, nie
może być mowy o pieniądzach, żołnierzach ani ostatecz-
nych rozkazach. Czy tak?

Znowu nikt nie zaprotestował.

– Teraz uczeni: nie można wdeptać w ziemię wszyst-
kiego, co się po niej porusza, nie zapytawszy najpierw, co

to w ogóle jest. Wszystko powinno poczekać, aż dowiemy się więcej. Czas! Potrzebny jest czas i rozwaga.

Trzy głowy skinęły twierdząco (bo właściciel czwartej, najstarszy przy tym stole, odpoczywał z przymkniętymi powiekami), więc książę Ramez odskinał im.

– Wasza godność? – zwrócił się do Przyjętej, czyniąc jednocześnie dłońmi skąpy gest, oznaczający chyba, że odkrył matematyczną prawdę w rodzaju: zero plus dwa minus dwa to nadal zero.

– Ale ja już mówiłam, książę, że... nie mam nic do powiedzenia. Doszło do Drugiej Wojny Potęg, Szerń i Aler starły się nad Szererem i ta wojna nie skończyła się jeszcze albo nie umiemy poznać, że tak jest. Doszło do czegoś w rodzaju zawieszenia broni, żadna z Potęg nie wróciła do równowagi, trwają w gotowości do podjęcia zmagani. Wiele wskazuje na to, że Aler się rozpada i jest to proces bardzo szybki, nawet w naszych, ludzkich kategoriach. Rozciągnięty na kilka lat, a trzy już minęły. Powiedziałabym, że Szerń czeka z bronią u nogi, aż wrogie wojsko straci resztki wartości bojowej. – Uśmiechnęła się lekko do wojskowych. – Ale to tylko... bajka o Wojnie Potęg. Bajka, bo to się dzieje „za siedmioma górami i siedmioma rzekami”.

– Tylko za jedną rzeką i jednym pasmem górskim, wasza godność – powiedział sucho komendant Okręgów Zachodnich, który jako współgospodarz Rewinu i najstarszy stopniem wojskowy sam sobie udzielił głosu.

– Nie, panie – odparła równie sucho – i to właśnie próbuję od wczoraj wytłumaczyć. To, co się dzieje po drugiej stronie granicy, jest oczywiście skutkiem Wojny Potęg i rozpadu Aleru. Ale dla nas przy tym stole to zupełnie obojętne. Przyczyny? Co nas obchodzą?

Te zmagania ponad światem to tylko taka ciekawostka albo baśń. Czcza wiedza. Jeśli przyjdą stamtąd czteroskrzydłe smoki, dwugłowe olbrzymy czy cokolwiek – zrobiła mimowiedny ruch ręką, bo w niewielkiej salce obok było właśnie to „cokolwiek”, a raczej jego szczątki – to możemy użyć zbrojnej siły, nauki, ale nie Pasm Szerni ani żadnych innych „mocy”. To się dzieje zupełnie osobno. Pewien bardzo mądry człowiek, lubiący podawać obrazowe przykłady – uśmiechnęła się nieznacznie, bo miała na myśli konkretną osobę, a mianowicie swego męża, przyjętego przez Szern tak jak ona – powiedziałby pewnie, że gasimy pożar i możemy to czynić w taki lub inny sposób. Ale bójka podpalaczy, którzy gdzieś uciekli i mordują się teraz nawzajem albo właśnie przestali mordować, nie ma dla nas żadnego znaczenia.

– Jeśli Aler się rozpadnie, wasza godność? Czy nasze „dwugłowe olbrzymy” nie znikną? Nie poumierają?

– Możliwe. Możemy poczekać, aż pożar sam zgaśnie, ze wszystkimi konsekwencjami tej decyzji, bo może przecież ogarnąć całe miasto. Jestem tylko Przyjętą, panie, i nie znam się na gaszeniu pożarów. Sporo wiem o podpalaczach, ale ta wiedza jest bezwartościowa dla kogoś, kto chce walczyć z ogniem.

– Czy nie wrócą, by podpalić coś jeszcze?

– Możliwe. Nie umiem tego przewidzieć ani temu zapobiec.

– Jaki więc pożytek z twojej wiedzy, pani?

– Już drugi dzień, panie, dowodzę, że żaden. Ile razy powinienam powtórzyć?

Popatrzyła wprost na komendanta. Rzecz nietrudna, bo siedzieli twarzą w twarz.

Wojskowi musieli nie znosić tej kobiety. Niestety. To chyba nie była jej wina, po prostu taką miała urodę, taki układ oczu i brwi. Nawet gdyby legła na posadzce w tej sali, to i tak patrzyłaby z góry. Na ludzi, na których nie patrzyła z góry nawet cesarzowa.

Chociaż... Cesarzowa, Niestety, czasem tak. Nie powinna. Ale była przynajmniej cesarzową.

Kesa-Przyjęta nie. I jednak nie wszystko dało się przypisać układowi brwi, bo ten nieśmiertelny królewski półuśmiech, stale zabłąkany na jej ustach, nie wynikał po prostu z urody.

Taka była. Królowa z niewolniczej hodowli. I niejednen miał ochotę powiedzieć to głośno. Bo nie tylko wojskowi źle się czuli pod spojrzeniem pięknej historyczki Szerni. Była oglądana, często podziwiana – ale lubiana przez nielicznych.

Ksiażę Ramez znowu odchrząknął. Łudził się, że Przyjęta zdoła nadać obradom jakiś nowy kierunek; powinien uczynić to sam, lecz nie miał żadnego pomysłu. Zamiast tego gotowa była sprzeczać się z żołnierzem. No, co prawda to nie ona parła do sprzeczeki.

Liczył wszakże, że Przyjęta ma więcej rozumu niż żołdak. Choćby nawet jeden z najznamienitszych w Armekcie, dowodzący kiedyś Armią Wschodnią, po śmierci sławnej nadtyśięczniczki Terezy.

– Wasza godność, ja także czasem zapominam, że nie zdołasz wytłumaczyć wszystkiego – powiedział, łagodnie stając w ten sposób w obronie nadtyśięcznika W.Aroneta. – To nie jest zwykła wojna graniczna.

Prawdę mówiąc, małżonek cesarzowej też nie miał serca do wyniosłej Kesy-lah'egri. Skrywał to niezwykle

starannie, bo jej mąż był człowiekiem, któremu sporo zawdzięczał i którego nazywał przyjacielem.

Skinęła głową, zanim skończył mówić; przyjęła reprimendę. Oczywiście, że miała więcej rozumu niż żołnierz. Być może więcej niż ktokolwiek w tej sali, nie łączając uczonych.

Dotknęła palcami prostego, ale jednak delikatnego pucharka. Wszyscy mieli przed sobą posrebrzane cynowe kubki. Bez żadnego zażenowania poprosiła wczoraj o coś, z czego będzie mogła napić się wina.

Teraz właśnie upiła łyk.

– Dokładnie w roku trzysta dziewięćdziesiątym siódmym ES, czyli trzydzieści sześć lat temu, doszło tutaj do wojny znacznie większej niż inne wojny graniczne – powiedziała. – Wszyscy wiemy, kto wygrał: armektańscy żołnierze. Szerszą wiedzą o skutkach tej wojny, skutkach dla dwóch Potęg walczących nad światem, niestety nie dysponuję. Podzielę się domysłami.

No, nareszcie.

– Przyjmuje się, że Potęgi takie jak Szerń i Aler nie stwarzają życia, potrafią jedynie je przekształcać. Ale to tylko założenie, pewności brak. Zwierzęce gatunki otrzymują rozum, będący modelem, odbiciem Pasm albo Wstęg, czasem są przy tym nieznacznie poprawiane. Koty mówią; krtani i język kota są trochę inne niż u podobnych gatunków, na przykład u rysia. Wydawało się dotąd, że to mogą być takie zmiany albo niewiele poważniejsze. Tak przynajmniej to wygląda u nas, pod naszym niebem, bo Szerń jest potęgą zrównoważoną, zachowującą należyte proporcje w działaniu. Inaczej niż Aler, który...

Zawahała się.

– Są i takie opinie, że Srebrni Alerowie to... ludzie – powiedziała. – Pod niebem Aleru to chyba nie były drobne zmiany.

Spoglądano z niedowierzaniem.

– Świadoma część Szerni – podjęła Przyjęta – wyłoniła z martwej i bezmyślnej Potęgi, nadała rozum trzem gatunkom u nas. Podobna część Aleru wyłoniła rozum tam, za granicą. Otrzymały go dwa gatunki, nazywane przez nas Srebrnymi i Złotymi Plemionami. Teraz chyba pojawił się trzeci. Ta stwarzająca rozum, świadoma część Aleru, podobna do naszego Rongoloa Krafa, czyli Największego Nie-Czuwającego, uśpiona była tutaj, na terenach północnego Armektu. Olbrzymi jak wzgórze kamienny posąg, wypełniony czymś, co przywodziło na myśl bardzo drobny piasek, nieledwie kurz. Wciąż żyją ludzie, którzy brali udział w tej wojnie, a nawet tacy, którzy widzieli ten posąg, zanim spalili go Srebrni Alerowie. Spalili, broniąc się przed czymś. Tutaj, pod niebem Szerni, sprawcze siły alerskiego Dawcy Mądrości nie mogły się zbudzić, bo zostałyby natychmiast zaatakowane i zniszczone przez Pasma Szerni. Aler sięgnął po tę uśpioną treść i być może wchłonąłby ją, by znów wyodrębnić jako sprawczą siłę, tym razem pod opieką swoich Wstęp. Nie doszło do tego, posąg zniszczono, a uśpioną treść rozproszono. Możliwe, że właśnie zebrała się z powrotem gdzieś pod niebem Aleru. Może osiem lat temu. Niedawno. Mamy pewne powody, by uważać, że tak właśnie jest, nieprawdaż? – Znów zrobiła słaby gest w kierunku przyległej komnatki.

Słuchano z największą uwagą.

– Aler zawsze był Potęgą... uszkodzoną? To chyba najlepsze słowo. Poobijaną. Mówiąc „zawsze”, mam na

myśli: odkąd, płynąc nad Bezmiarami, dotarł do naszego kontynentu i uczepił się jego skraju, walcząc o przetrwanie, bo wydaje się, że ląd jest takim Potęgom niezbędny. Pokonany w Pierwszej Wojnie, zepchnięty na same rubieże, zapewne jeszcze przed wojną obdarzył bardzo niedoskonałym rozumem dwa gatunki, już o tym mówiłam, a zresztą wszyscy tutaj to wiedzą. Oszczędzę długiej opowieści o prawdopodobnym wpływie tego nieudanego rozumu na Wstęgi Aleru, bo taki wpływ, i to niszczący, był i jest wywierany. My także wpływamy na Szerń, ale Szerń jest Potęgą nieuszkodzoną, a w każdym razie sprawną i potrafi odzyskiwać równowagę. Aler chyba już nie. Być może trzeci rozumny gatunek alerski powstałby tak czy inaczej, i nie różnił się bardzo od Srebrnych i Złotych Plemion. Ale doszło do Drugiej Wojny Potęg. Co jest przyczyną, a co skutkiem, nie wiem.

Znów upiła drobny łyk wina.

– Możliwe, że alerski Dawca Mądrości przebudził się przed ośmioma laty, by dać rozum. Ten akt przebudzenia wzmógł aktywność Aleru i wtedy Szerń zaatakowała. Nie od razu. Przez kilka lat w strukturze Pasm narastały niezrozumiałe dla nas, dla Przyjętych, zmiany, można to wytłumaczyć jako przygotowania do wojny. Mogło też być odwrotnie: wybuch Drugiej Wojny Potęg, wzmożona aktywność walczących Wstęg i Pasm przebudziły Dawcę Mądrości. Niesprawna, ale wciąż przepotężna ponad ludzkie wyobrażenie struktura, porozbijana, dodatkowo wytracona przez wojnę nawet z tej chwiejnej równowagi, w jakiej jeszcze mogła się utrzymać, nie tylko obdarzyła rozumem, ale ponadto przekształciła, może nawet stworzyła, chociaż powinna być do tego niezdolna... Stworzy-

ła i obdarzyła namiastką rozumu COŚ. To, co jest w tamtej salce. Nie wiemy, co to jest, ile tego jest ani do czego jest zdolne. Wiemy, że można to zabić; to już sporo.

Uniosła swój pucharek na wysokość ramienia i natychmiast stojący z tyłu sługa dopełnił go winem.

– Nie upiję się – powiedziała uspokajająco i ten pierwszy, niewyszukany przecież żart, na jaki sobie pozwoliła, dowiódł przynajmniej, że jest ludzką istotą, a nie jakimś lodowym soptem, z którego wykuto kobietę.

Kilku wysokich dowódców – przecież jednak: żołnierzy – uśmiechnęło się lekko. Zyskała małeńki okruszek sympatii.

– Odnaleźć – powiedziała niejasno, właśnie takim spokojnym tonem, jakim wojskowy dowódca mógłby wydać błahy rozkaz w rodzaju: „Wyprowadzić”. Po czym uściśliła: – Rada Przyjętej? Odnaleźć Dawcę Mądrości. Może stworzył i nadał rozum pięciu takim istotom, czy też rzeczom, po czym na powrót zasnął. A może codziennie stwarza sto albo tysiąc nowych. Z baśni, którą opowiedziałam, bo to wszystko, przypomnę, są domysły, nie wiedza, wynika: odnaleźć i zniszczyć Dawcę Mądrości. O ile w ogóle istnieje.

Zaległa cisza.

– Jak wygląda? Czy to znowu wielki kamienny posąg?

– Nie sędzę. Nie wiem, jak wygląda. I nie mam żadnych przypuszczeń.

– Czy może być podobny do naszego...

– Rongoloa Krafa? Możliwe. Ale Krafa nikt nigdy nie widział. Nie znaleźliśmy go w Romogo-Koor, nie wiemy, gdzie się znajduje ani jak wygląda. Jego istnienie jest dowiedzione, ale... to wywód matematyczny.

– Sprawdzony i potwierdzony wielokrotnie – rzekł jeden z uczonych, chyba rad, że może wreszcie coś powiedzieć. – Akademicy uczeni nie są mędrkami Szerni, ale matematyka jest jedna dla wszystkich.

– Jeśli ten alerski Dawca Mądrości zostanie zniszczony, to czy Aler go nie odtworzy?

– Możliwe.

– W jaki sposób można go zniszczyć? Czy to leży w zasięgu naszych... w granicach ludzkich możliwości?

– Nie wiem.

– Na wszystkie moce Szerni...

– Wasza godność, powiedz to wreszcie: „Żaden pożytek z twojej wiedzy, Przyjęta”.

Zaległo krótkie milczenie.

– Gdzie może być? – zapytał nadtyśnięk W.Aronet.

Uśmiechnęła się i upiła jeszcze łyček. Znów z królewską obojętnością.

– Gdzieś?



Kesa w niewolniczej hodowli przyszła na świat jako dartanka. Małą literą, jak pełnokrwista dartańska klacz. Tak odnotowywano na certyfikacie krew płynącą w żyłach niewolnicy. Była kolejnym miotem pary rozplodowej, w której odpowiednio dobrany dartańczyk krył dartankę. Przez trzydzieści dwa lata życia miała status przedmiotu.

Ale dorastała i zawsze mieszkała w Dartanie. I nie opuszczała go nigdy, aż do dnia, gdy wspaniały mężczyzna poprosił jej wspaniałą panią o wolność dla Perły Domu. Wyzwolona, już nie była dartanką. Uważała się za Dartankę.

Armektanką nie była na pewno. A odwiedziny obcego mężczyzny w jej sypialni, w samym środku nocy – no, to było bardzo po armektańsku. Aż nazbyt.

Oczywiście zapytał służebną niewolnicę, czy jej pani nie śpi. I dopiero wtedy poprosił, by go zapowiedziano.

Miała zażądać z powrotem sukni i kazać ją sznurować? To trwało trochę dłużej niż klaśnięcie w dłonie. Ale przecież, no, właściwie po co?... Czyżby ktoś nie wiedział, jak wygląda nieubrany człowiek? Odwiedził ją Armektańczyk. Gdyby brała kąpiel, to na pewno byłby skłonny przysiąc na taborecie i nie odprawiając łaźiebnej, wyłuszczyć krótko sprawę, z którą przyszedł. Wielka nara-da, no tak, oczywiście, ale teraz zamienimy przecież tylko kilka słów. Późno już i pora spać, nie będziemy chyba, Keso, bawić się w ceremonie?

Czyżby ktoś nie wiedział, że ludzie się kąpią?...

Bezpośredniość i prostolinijność tych wiecznych łuczników Równin wprawiała czasem w zakłopotanie.

Przyjęła gościa, siedząc w łóżku, owinięta swoim futrem z granatowych lisów. Może nie kosztowało tyle, ile ten cały zamek, ale wieżę bramną kupiłaby na pewno. A skądinąd wcale nie było jej zbyt ciepło. Te forteczne mury przejmowały chłodem. I to teraz, jesienią. A zimą?

– Naprawdę, książę... Nie wiem, co powiedzieć – odezwiała się bezradnie, gdy stanął w drzwiach i milczał, czekając na słowa gospodyni, bo tak przecież nakazywało dobre wychowanie. – Oczywiście, to jest Armekt. I jesteśmy w wojskowej warowni, czyli prosta dartańska żołnierka powinna chyba... Ale czy koniecznie? Na poranny apel garnizonu też mam się stawić?

– Nie gniewaj się, wasza godność. W ciągu dnia nie bardzo umiem znaleźć wolną chwilę, a jeszcze trudniej taką, gdy nikt się nie domyśli, że przyszedłem porozmawiać z tobą w cztery oczy. Oboje, wasza godność, jesteście... cudakami. Konszachty dwojga cudaków? – teraz on zawiesił głos.

Miał słuszość.

Jego Cesarska Wysokość Księżę Małżonek A.S.N.Ramez, jeszcze jako przedstawiciel Imperatora w Grombie, też majstrował przy Szerni, chociaż nie bardzo potrafił. Okrył się niesławą, popadł w niełaskę, omal nie stracił żony, zawiesiła małżeństwo najpierw na pół roku, potem znowu. Odzyskał dobre imię dopiero kilka lat temu, gdy się okazało, że miał rację. Tak jak przewidywał, doszło do wybuchu Drugiej Wojny Potęg. Nie ziściły się najgorsze obawy, nie uległa dotąd zagładzie żadna kraina Szerezu – a chciał je ratować kosztem dzikiego Grombelardu, którym rządził. Lecz wszystko jeszcze mogło się zdarzyć.

Ramez odzyskał pozycję, a przede wszystkim – żonę. Dowiedział, że nie był szaleńcem, co najwyżej podjął nietrafne, ale dające się uzasadnić decyzje. Nie on jeden na świecie. To można było zrozumieć, a nawet puścić w niepamięć.

Jednak w oczach wielu pozostał cudakiem. Takim nieudanym, niedokończonym Przyjętym. Albo może po prostu Nieprzyjętym.

– Pół tysiąca mil – powiedziała. – Ja ci tego, wasza wysokość, nie zapomnę. Przez miesiąc byłam w podróży, a pędziłam najszybciej jak mogłam. Bo po ludzku jechałabym dwa razy dłużej.

– Nie pomyślałem o tym – wyznał rozbijającąco. – Z Kirlanu do Rewinu jest cztery razy bliżej, z Kanazy to

właściwie po sąsiedzku, a wszyscy jechaliśmy tu z Trzech Portów. Rzeczywiście, przecież mieszkasz, wasza godność, pod Rollayną?

– Tak.

– Nie ciebie oczekiwałem. Byłem pewien, że przyjedzie twój mąż.

– Pojechał do drugiej stolicy. Każde z nas pojechało tam, gdzie mogło. I tam, gdzie powinno. W Rollaynie rozmawiałabym z moją dawną panią. To musiałyby być inne rozmowy, niż mogę prowadzić tutaj.

– Chyba tak. Nie pomyślałem, że to tak daleko. Kurierzy na rozstawnych koniach...

– Tak, potrzebują czterech dni, żeby przekazać list z jednej stolicy do drugiej. Niecałego tygodnia, jeśli nie ma pośpiechu, a trzech dni, jeśli sprawa jest najwyższej wagi. Wyglądam, wasza wysokość, na kurierkę?

– W tym futrze? Moja żona takiego nie ma. Cesarzowa.

– Nie ma, bo jest Armektanką. Umarłaby, gdyby włożyła to na siebie. W jaki sposób chroni się przed chłodem? Ma w skrzyni konopny worek?

Parsknął, rozbawiony. I bezceremonialnie przysiadł na skraju łoża.

– Nie. Ciepłe, lecz niedrogie futro stepowej pantery. Ale ma je już chyba... no, z piętnaście lat.

Uniosła dłoń.

– Dobrze, ja w ogóle nie chcę tego słuchać. Rozmawiamy, wasza wysokość. Chyba że chcemy razem zjeść w tym łóżku śniadanie.

– Rewin dlatego – powiedział, wiedząc doskonale, że ta kobieta nadąży za nim myślami – że bardzo źle się rozmawia o wojsku, trupach, stanicach i granicach, jeśli siedzi

się w domu albo dwie ulice dalej. Żołnierzy nie liczę. Cała reszta przy tym stole jeszcze wczoraj nie pamiętała, jak wygląda dziesięć drzew obok siebie, takie lasy w stolicy nie rosną. Specjalnie ich tu przywlokłem, to alerskie truchło mogłem przecież sprowadzić do Kirlanu, nie musieli oglądać go tutaj. Ale widziałaś uczonych? Niewiele mówią, prawda? Bo dotarło do nich, że czekać, badać, rozważać, wszystko to można w miejskiej bibliotece albo w salach ich akademii. A tutaj, gdy któryś powie: „Dowiedzmy się o tym więcej”, to zaraz milknie, bo wie, że gotów jestem wskazać mu okno, za którym deszcz ze śniegiem pada na równinę, i odpowiedzieć: „Proszę, panie, dowiaduj się”. Urzędniczek i urzędników dotyczy to tak samo. A może nawet tym bardziej, bo uczeni mają więcej wyobraźni.

– Przyjętej dotyczy trochę mniej. Kilka lat temu byłam w Grombelardzie. Wjechałam konno do Grombu. Do tego, co z niego zostało.

– Wiem, Przyjęta. Ale jednak dobrze się stało, że zobaczyłaś Rewin.

– Właściwie dlaczego?

– Bo w całym Szererze nie istnieje nic potężniejszego. Jeśli ta twierdza padnie, to padnie wszystko. Wiem, pani, że niewiele możesz zrobić, znam możliwości Przyjętych. Ale pewnego dnia, jeśli usłyszysz, że padł Rewin... Wtedy będziesz wiedziała, co upadło. I możliwe, że zrobisz coś niemożliwego.

– Podobno Alerowie nie potrafią zdobywać umocnień. Nawet drewnianych, stanicznych.

– Ale potrafią je otoczyć. Załoga tego zamku może umrzeć z głodu, jeśli nie będzie nikogo, kto przedarłby się z odsieczą.

– Książę, czy są powody?... – zapytała wolno. – Niczego nie lekceważę, mam bardzo duże obawy, ale... Nie potrafię ocenić problemu z wojskowego punktu widzenia. Na razie chyba jeszcze nie dzieje się nic strasznego? A może już jednak się dzieje?

– Wstęgi Aleru cofnęły się tak daleko, jak chyba jeszcze nigdy, wiesz o tym lepiej ode mnie. Kilkakrotnie pojawiło się to „coś” żywego albo nieżywego, czego nawet nie umiemy nazwać. A te zagony Alerów...

Uczynił niejasny gest.

– Uciekają – powiedział. – Srebrne Plemiona uciekają. Bijemy się z wielkimi zagonami, ale te zagony to bandy uciekinierów, nie łupieżcze hordy. Prowadzą swoje kobiety i dzieci. Walczą z nami, bo tu jesteśmy i nie chcemy puścić ich dalej, do środka Armektu, a może i Dartanu. Gdyby nie to, pociągnęliby chyba na południe tak daleko, jak to możliwe. Wasza godność, dajemy im tu w skórę od setek, od tysięcy lat. Od zawsze, odkąd pojawił się ludzki rozum. Nie wybiliśmy ich do ostatniego, bo kampania pod niebem Aleru jest niemożliwa. Ale tutaj jesteśmy górą. Uciekają spod własnego nieba pod niebo Szerni, na tereny odwiecznego wroga, który ich tłucze od zawsze. Tu jest chyba bezpieczniej, wasza godność. Bezpieczniej niż u nich. Co musiałoby wydarzyć się u nas, żebyśmy całymi rodzinami, z dziećmi, uciekli na ziemie Alerów?

Milczeli przez chwilę.

– O czym chciałeś rozmawiać, książę?

– Właśnie o tym.

Czekała.

– Wasza godność – powiedział – Grombelardu już właściwie nie ma, to zajęty przez łachudry półwysep

odcięty od reszty Szereru, który dzięki żołnierzom dartańskim nie przysparza specjalnych kłopotów, ale nie ma też z niego pożytku. Trochę się do tego przyłożyłem, ale tylko trochę, bo to przecież nie Cesarski Przedstawiciel rządził Ciężkimi Górami, zabrakło kogoś innego. Grombelard to teraz właściwie tylko jedno portowe miasto na północy, zarządzane przez mojego szwagra. Głupca, którego trzyma na krótkiej smyczy stara przyjaciółka mojej żony. Po drugiej stronie kontynentu jest Garra, która za kilka miesięcy wybiję się na niepodległość, bo nikt nie zdoła temu zapobiec. Nawet rządzący tam drugi z moich szwagrów, człowiek o wiele mądrzejszy i mający więcej cech władcy, niż ktokolwiek kiedyś przypuszczał. Poznałaś go przecież, nie szczędzi trudu, ale... nic nie robi. Ani on, ani nikt. Z dnia na dzień zostanie wskrzeszone wrogie zamorskie królestwo, gotowe dołożyć wszelkich starań, by Armekt, a najlepiej wszystkie państwa kontynentalne przestały istnieć. To koniec Wiecznego Cesarstwa, pora wrócić do skromniejszej nazwy: Królestwo Armektu. Na to królestwo bardzo nieprzychylnie spogląda najpotężniejsza dzisiaj kobieta na świecie. Ależ tak, wasza godność, oboje wiemy, że nie mam na myśli mojej żony, władczyni resztek imperium. To nie ona, lecz królowa Ezena ze swej stolicy w Rollaynie decyduje dziś o losach Szereru. Skrzywienie jej ust lub zmarszczenie brwi zdecyduje o tym, czy Armekt otrzyma wsparcie licznych chorągwi dartańskich, odzyskując zarazem legiony strzegące południowo-wschodniej granicy. Wydaje mi się, że na całym wielkim świecie istnieje tylko jeden człowiek, który ma jakiś wpływ na tę kobietę, na królową Ezenę. To twój mąż.

Uśmiechnął się. Nie, nie ironicznie, bo wręcz kpiąco. Wiedział, jak czuje się ktoś, od kogo zależy zbyt wiele.

– Z tego wynika – zakończył – że jego godność Gotah-lah’agar stanowić będzie o przyszłości Szereru. Czy on o tym wie?

– Jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie – powiedziała z niezachwianą pewnością. – Jeśli my, książę, o tym wiemy, to on także. Czy upadek Armektu jest przesądzony?

– Z powodu Alerów? Nie. Nikt nie wie, jaka będzie ta wojna, na pewno wielka, ale może niekoniecznie beznadziejna. Armekt nie boi się Alerów aż tak jak królestwa, którego jest przedmurzem. Alerów pokonamy albo zatrzymamy, ale nie pokonamy Dartanu. To pierwsza z rzeczy, o których chciałem mówić tylko z tobą. Nikt w tym gronie nie musi wiedzieć, że zarówno ty, pani, jak i twój mąż jesteście kimś więcej niż tylko poproszonymi o opinię doradcami. Przecież nie wrócisz do Rollayny – stwierdził, nie zapytał. – Niech zgadnę: pozwolisz, bym zaprosił cię do stolicy. W imieniu najgodniejszej cesarzowej.

– W żadnym razie. Ale skoro tak nalegasz, książę...

– Rad jestem, że przełamałem twój twardy opór, pani.

– Sprawy – przypomniała. – Bo ta była pierwsza.

– Przypadkowo rzucone zdanie. Powiedziałas dzisiaj: „Wciąż żyją ludzie, którzy brali udział w tamtej wojnie”. Tej zakończonej trzydzieści sześć lat temu. Nazywamy ją tutaj Wielką Wojną Graniczną.

– Rzeczywiście przypadkowe zdanie. Dla zaznaczenia, że to nie tak dawno.

– Ale oni naprawdę żyją, wasza godność. Mało kto o nich pamięta, a jeżeli już, to najbardziej o ich wojsko-

wych zasługach. Ja jednak, jako, hm, nieudany Przyjęty, interesowałem się tą wojną nie tylko jako ciągiem przemarszów, bitew i potyczek. Coś dziwnego przydarzyło się małemu oddziałowi żołnierzy, który znajdował się tuż obok pagórka kryjącego Dawcę Mądrości, gdy Srebrni Alerowie zaczęli go odkopywać. Żyje i ma się niezgorzej łuczniczka, która wtedy tam była, jest dzisiaj jedną z najsławniejszych armektańskich żołnerek, a wydaje mi się, że ją znasz, wasza godność. I być może wciąż żyje dowódca tamtego oddziału.

Premiera
9.02.2024



polub nas
na Facebooku

Kliknij i przejdź do sklepu,
by kupić książkę



swiatksiazki.pl

FELIKS W.

KRES

SZERŃ

I SZERER

ZIMA PRZED

BURZA

Ostatnia książka
Feliksa W. Kresa



Nawet Potęga nie jest wieczna.

Wciąż żyją ludzie, którzy przed półwieczem widzieli ostatnią bitwę Szerni z Alerem. Bitwę, jak sądzili, zwycięską. Dziś dawna Potęga, nie unicestwiona, a jedynie uśpiona, zaczyna pożerać własny świat i własne dzieci.

Alerowie tysiącami przekraczają Północną Granicę i zalewają Armekt, broniony resztkami wojsk ocalałych z wojny między dwiema najpotężniejszymi kobietami świata. Teraz to one, te, które w listach nazywają się siostrami, będą musiały odłożyć na bok dumę i nienawiść i wspólnie stawić czoła zagrożeniu, jakiego nie widział jeszcze świat pod niebem Szerni.

Gdy dwie władczynie ślą listy, gdzieś daleko na północy, wśród mroku i śniegu, rozpoczyna się rozpaczliwa, uświęcona rzeź. Rzeź, po której nic już nie będzie takie samo.

FELIKS
KRES
PL

11

KSIĘGA
CAŁOŚCI



ISBN 978-83-7964-868-9



9 788379 648689

69,90 zł*

+ cena zawiera 5% VAT

f / fabryka

fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl

patroni
medialni:

WOLNE
CZYTALNIE

Katedra

118

EKRANIE.PL

Ostatnia
lawerna

Kończą się książki

BESTIARIUSZ

opelani
czytelnik

FIAT